MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 36. WARSZAWA, 20 SIERPNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

REWOLUCJA AMERYKAŃSKA

KAPITALIZM osiągnął najwyższy stopień swego rozwoju w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jest tedy rzeczą zrozumiałą, iż kryzys tego systemu gospodarczego najjaskrawiej i w sposób najbardziej typowy ujawnił się właśnie w Ameryce Północnej.

Mówiąc o systemie kapitalistycznym, nie myślimy o nim ani jako o systemie przeciwstawiającym się socjalistycznemu, a więc opartym o własność prywatną, ani też uznającym wolność gospodarczą w przeciwstawieniu do gospodarki planowej. Jest to dla nas system, oparty na uznaniu zysku materjalnego za najwyższy cel działalności gospodarczej, a chęć zysku za najważniejszy motor tej działalności. Tak określając kapitalizm, możemy twierdzić, że początki jego w Europie sięgają epoki rozkładu ustroju średniowiecznego, że zrodził się on na podłożu nowych warunków gospodarczych, wytworzonych przez odkrycie Ameryki i zniweczeniu granic terytorjum gospodarczego, będącego w rozporządzeniu narodów europejskich, a osiągnął najwyższy swój rozwój w drugiej połowie wieku XIX-ego. Kapitalizm stał się podstawą wielkości Anglji, która na nim zbudowała swe bogactwo i swoją potęgę polityczną; w Anglji też zrodziła się teorja liberalizmu ekonomicznego, która odpowiadała rzeczywistości gospodarczej tego okresu. Za Anglją poszły w pierwszej linji: Niemcy i Stany Zjednoczone. Nigdzie nie przybrał tak czystych form system kapitalistyczny, jak w Ameryce właśnie, mającej społeczeństwo pierwotne, powiedzmy poprostu barbarzyńskie, gdzie przeto nie było hamulców w postaci tradycyj, przyzwyczajeń i różnych czynników, pochodzących ze średniowiecza. Stąd wynika, że i kryzys gospodarczy czasów naszych, będący kryzysem systemu kapitalistycznego przybrać musiał najjaskrawsze i najdotkliwsze kształty w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

W dodatku społeczeństwo amerykańskie odczuwa następstwa kryzysu znacznie silniej niż społeczeństwa europejskie. A to dlatego, że ideologja jego jest nawskroś materjalistyczna i indywidualistyczna. Celem życia była tam owa osławiona *„prosperity“*, a bóstwem dolar. Gdy cel rozchwiał się we mgle, a bożek padł w proch, cóż zostaje społeczności, nie mającej innych celów i innych bóstw? Tak charakteryzując społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, myślimy oczywiście o typie przeciętnym, panującym.

Mało wiedzieliśmy w Europie o rozmiarach kryzysu gospodarczego w Stanach Zjednoczonych. Nie dochodziły do nas wieści ani o zastoju w produkcji, ani o ilości bezrobotnych, ani o upadku handlu, ani o rozstroju systemu bankowego i ilości krachów giełdowych... Zrzadka tylko od przyjezdnych lub z prasy dowiadywaliśmy się, jak dalece przesilenie amerykańskie przerasta to, co widzieliśmy w starej Europie. Dowiedzieliśmy się natomiast bardzo szybko o tem, jak rząd i społeczeństwo amerykańskie podjęły walkę z kryzysem. Telegramy donoszą nam codziennie o rozporządzeniach i zarządzeniach prezydenta Roosevelta, o działalności urzędów (*National Industrial Recovery Administration*), powołanych do zwalczania kryzysu, o propagandzie wśród społeczeństwa, o entuzjazmie

ludności itd. Dowiedzieliśmy się dlatego, że rządowi Stanów zależy na tem, ażeby nazewnątrz, w świecie całym wywołać przeświadczenie, że kryzys będzie opanowany, że po krótkiej depresji Ameryka Północna powróci do dawnej *„prosperity“*. Zresztą nie wątpimy, że społeczność Stanów Zjednoczonych wzięła się na serjo i z energją do walki z przesileniem. Jestto społeczność młoda, pełna sił żywotnych i temperamentu; trudności gospodarcze jej nie zmogą, lecz przeciwnie, w trudnościach tych, jak w wojnie, okrzepnie ona i wyrobi się. Udział w wojnie europejskiej i przesilenie gospodarcze staną się niewątpliwie czynnikami, zamieniającemi różnolite żywioły w samodzielny naród. W oczach naszych — tak nam się zdaje — powstaje w Ameryce Północnej nowy naród; jak się to zwykle dzieje—w pocie czoła i walce, wśród niebezpieczeństw, ponosząc ciężkie i krwawe ofiary.

W jaki sposób, jakiemi środkami walczą rząd i społeczeństwo Stanów z przesileniem gospodarczem? Pisząc w „Gazecie Warszawskiej“ o książce prez. Roosevelta (*„Looking forward“*), wypowiedziałem opinję, że przez dyktaturę polityczną i gospodarkę planową Zarówno ta dyktatura, jak system gospodarki planowej są przystosowane do warunków amerykańskich. Nie jest to ani system faszystowski, ani bolszewicki, coś między niemi pośredniego, lecz będącego o wiele bliżej bolszewizmu, niż faszyzmu. Nic dziwnego, wszak społeczność Stanów przez swą pierwotność (historja), a Stany przez swój obszar i bogactwo swego terytorjum (geografja), są bliższe Rosji, niż Włoch. Tak się zapatrując na to, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, można zmieścić ich ewolucję gospodarczą w ramach przeobrażeń, dokonywających się obecnie na całej kuli ziemskiej, a przedewszystkiem w krajach, gdzie osiągnął stopień wysokiego rozwoju system kapitalistyczny. Dlatego sądzimy, że to, co się tam dzieje, nie jest zjawiskiem przejściowem, jakąś próbą, która się może rychło załamać, lecz początkiem nowego, długiego okresu w życiu Ameryki Północnej.

Tak sądząc, nie wyobrażamy sobie wcale, by gigantyczna walka prez. Roosevelta z przesileniem gospodarczem dała takie wyniki, jakich się po niej w Ameryce spodziewają, to znaczy powrót do *„prosperity“*. Bo skończył się okres rozkwitu systemu kapitalistycznego, ukazują się zarysy nowego ustroju gospodarczego świata. Środki zaś, jakie stosuje rozkładający się kapitalizm, by się uratować, godzą w samą jego istotę i w jego podstawy.

Zarówno dyktatura polityczna, jak gospodarka planowa są typowemi zjawiskami okresu przejściowego—koniecznemi, lecz krótkotrwałemi. Co najważniejsze zaś, są w sprzeczności z tem, co stanowi istotę systemu kapitalistycznego – z wolnością polityczną i gospodarczą.

Zbliża się czas, gdy wolne dla ekspansji gospodarczej terytorja na kuli ziemskiej będą wyczerpane; dziś już jest ich bardzo mało. Okres rozpoczęty odkryciem Ameryki już się ma ku końcowi. Obszar ziemski jest znów — jak w średniowieczu — ograniczony. Terytorjum, będące w rozporządzeniu ludzkości, zmalało. Trzeba się na ziemi urządzać i na ziemi gospodarzyć w inny sposób. Tak wracamy do średniowiecza w wielu dziedzinach, a między innemi w dziedzinie gospodarczej. Patrzymy na głęboki przewrót w rzeczywistości gospodarczej, a także na przewrót w nauce ekonomji. Liberalizm naukowy przeżył się, skoro przeżył się system gospodarczy, którego był wyrazem i uzasadnieniem.

Nowe warunki życia i działalności gospodarczej wymagają wzrostu autorytetu państwa i ograniczenia wolności gospodarczej. Te właściwości i warunki nowego ustroju włamują się już dziś w życie państwowe i gospodarcze, szukając wyrazu w ramach systemu kapitalistycznego. Tak powstają dyktatury i systemy gospodarki planowej. Najdobitniej ujawniło się to w Rosji, gdzie pod hasłami komunistycznemi wprowadzany jest w życie kapitalizm państwowy, oparty o dyktaturę polityczną i gospodarkę planową, gdzie też najjaskrawiej uwydatnia się fakt, że socjalizm pochodzi od liberalizmu i że Marx przez Ricarda jest potomkiem Smitha.

Z tego, co powiedziano powyżej, wynika, że nie przewidujemy, ażeby wysiłki prez. Roosevelta były uwieńczone powodzeniem, ażeby zdołał on przywrócić w Stanach Zjednoczonych zaginiony dobrobyt i tchnąć nowe życie w ginący system. To, co pokoleniu współczesnemu wydaje się normą i koniecznością, było li tylko krótkim okresem przejściowym, w którym wyjątkowo sprzyjające warunki umożliwiły nadmierny rozwój produkcji i wielki dobrobyt powszechny. Środki zaś zastosowane w Stanach Zjednoczonych, stojąc w sprzeczności z istotą systemu kapitalistycznego, przyśpieszą tylko jego rozkład i nastanie okresu przejściowego między dawnemi a nowemi czasy.

Będziemy patrzyli z ciekawością na rozwój wypadków w Ameryce Północnej, aczkolwiek musimy sobie dobrze zdawać sprawę z tego, że zarówno tam, jak w Rosji, pójdzie rozwój ten innemi drogami, niż w Europie Zachodniej, do której należy także Polska. Wydaje się nam, że to, co było słabością narodów naszej kultury w okresie wysokiego rozwoju kapitalizmu, stanie się czynnikiem ich siły i wytrzymałości. Tradycje i pozostałości średniowiecza są jeszcze bardzo silne w życiu narodów Europy Zachodniej, pomogą one im w przygotowaniu się do nowych czasów, które tyle mają podobieństwa z tem, co było przed odkryciem Ameryki.

Ameryka zaś, jeśli chce przezwyciężyć przesilenie gospodarcze, musi odkryć Europę, to znaczy poznać te siły duchowe, które dały narodom Europy Zachodniej ich cywilizację i kulturę oraz zdolność zawładnięcia światem.

STANISŁAW KOZICKI

NOWY ROK SZKOLNY

POCZĄTEK roku szkolnego jest jedną z tych tradycyjnych uroczystości, bardziej naturalnych, niż przeróżne świeżo wprowadzane i silnie propagowane „święta“. Jak chwila rozdania świadectw, zwłaszcza dyplomów dojrzałości, tak i początek nauki, to uroczystość, nie tylko szkolna, nie tylko młodzieży i jej rodziców, ale całego społeczeństwa. Przecie w tym dniu wchodzi w mury szkolne nowa generacja i rozpoczyna tam nową pracę poważnego znaczenia, która ma ją przygotować do obowiązków obywatelskich, życia dla Ojczyzny, Narodu, Państwa. Zwłaszcza rzewną jest ta uroczystość w szkole powszechnej, tak z uwagi na jej szerokość zasięgu, jak i zasadniczy przełom w życiu nowych przybyszów. Skończył się ich okres wyłącznej zabawy, teraz mają przystąpić do rzeczywistej, poważnej pracy. Roczniki starsze zaczynają nowy okres, który powinien być dalszym planowym postępem w drodze do doskonalenia się.

Odmienny nieco charakter w szkołach średnich. Zawodowe mają przygotować ukwalifikowanych w swym zawodzie fachowców, przyzwyczaić do skrupulatności w pracy, usunąć zbyt częsty u nas dyletantyzm, dać pełnych pracowników określonego typu. Ogólnokształcące wprawdzie nie dają pełnego przygotowania do spełniania zawodowych funkcyj społecznych, owszem wymagają zasadniczo dalszych studjów wyższych, ale wychowankowie tych szkół powinni stanowić ową elitę, która ma zająć stanowiska kierownicze, której przynajmniej część powinna twórczo przyczynić się do rozbudowy kultury ojczystej.

A tem ważniejszy, więc i uroczystszy to moment w roku bieżącym. Stoimy wobec zasadniczej i całkowitej przemiany szkolnictwa. Wprawdzie mogliśmy się przyzwyczaić do reform, gdyż w okresie rządów pomajowych każdy minister W. R. i O. P. uważał za potrzebne wprowadzać większe lub mniejsze zmiany, które zwykle następca znosił lub ograniczał, tak, że może społeczeństwo zobojętniało w tej dziedzinie bardziej niż w innych, ale były to wszystko drobiazgi i dotyczyły tylko gimnazjów; teraz zaś stoimy wobec reorganizacji całkowitej, przekształcającej zasadniczo charakter szkolnictwa we wszystkich typach i poziomach, od szkoły powszechnej, elementarnej, do akademickich włącznie.

Reformę przeprowadzono w tempie rekordowem, które chyba i Amerykanom zaimponuje. Wszak wprowadza się w życie programy, które opublikowano jako projekt dopiero, wprowadza odrazu w całem państwie, obowiązkowo we wszystkich szkołach, odrazu na kilku poziomach. Realizować się je ma w całej rozciągłości, mimo zmian zasadniczych, urządzając w czasie wakacyj gwałtowne przeszkolenie wprost zaskoczonego nauczycielstwa. Czy to wszystko nie wprowadzi powikłań i nieporozumień, czy nie spotęguje jeszcze i tak silnego już zdenerwowania w szkole? Zaniepokojenie łagodzi nieco ten fakt, że wydrukowane plany nie mają pretensji do doskonałości ostatecznego elaboratu, lecz są tylko p r o j e k t e m, jak to wyraźnie tytuł zaznacza. Najbliższe więc lata będą latami prób i doświadczeń. Zupełnie słusznie, bo już Al. Fredro powiedział w swych „zapiskach starucha“, iż „kto gardzi doświadczeniem, albo wielki człowiek, albo wielki osioł, ale wielkich ludzi skąpo“.

Dobrze też, że zaczęto od podstaw i zajęto się szkołą powszechną, która, mojem zdaniem, przedewszystkiem wymagała poprawy; dobrze, że narazie ograniczono się to typu nielicznego i najłatwiejszego do poprawy, podając programy szkół „trzeciego szczebla“ t. j. pełnych siedmioklasowych, a dopiero, opierając się na wynikach eksperymentów tu przeprowadzonych, przystąpi się zapewne do rozszerzenia na przeważające po wsiach szkoły niższego typu. Oczywiście, o ile wyniki nowych planów będą dobre, o ile więc eksperyment się uda (sądzę, że zasadniczo tak będzie, poza jakiemiś szczegółami), dystans pomiędzy miastem a wsią jeszcze się pogłębi, ale to będzie objaw krótkotrwały, paroletni, nie należy się więc tego lękać.

Natomiast nie rozumiem, dlaczego odrazu nowe pomysły zgeneralizowano i podporządkowano im ogół szkół całej Rzeczypospolitej. Wszak wszelki eksperyment przeprowadzać należy w niewielkim zakresie, na ograniczonym, jakkolwiek dostatecznie zróżnicowanym materjale. Rozszerzenie eksperymentu na ogół jest wysoce niebezpieczne, tem więcej, gdy jak tu, ma być dokonany zbiorowemi siłami: nie tylko może zniszczyć nie jedną rzecz dobrą z przeszłości, ale i nowe pomysły trafne wypaczyć i zdyskredytować.

Czy brak był wśród decydujących czynników empiryków, przyrodników, rozumiejących ważność doświadczenia i metodę jego stosowania, czy zadecydowała niezwykła pewność siebie i wiara w nieomylność własną, czy wreszcie przeważyły jakieś względy aktualnej polityki, nakazującej pośpiech,— nie wiemy.

Nie chcę tu oceniać nowych pomysłów, wymowniejsze będzie właśnie „doświadczenie", które wskaże zalety i wykryje wady. Tu pragnę jednak poruszyć inną rzecz. Oto w dotychczasowych dyskusjach zabierali głos prawie wyłącznie zainteresowani fachowcy. W niedawnej, tak głośnej, dyskusji w sprawie „autonomji szkół akademickich" poza głosami ministerstwa i jego organów, profesorów i młodzieży, innych głosów niemal nie było, a przecie to nie była sprawa zawodowa, lecz tyczyła poważnej dziedziny naszego życia kulturalnego. Otóż uważam, że ogół społeczeństwa powinien bardziej zainteresować się sprawami wychowawczemi, wejść w bliższy kontakt z życiem i pracą szkoły, dać też wyraz swoim poglądom i dążeniom. Tak np. aktualny problem nauki języków obcych. Czy nie jest zacieśnieniem horyzontów, nie mówiąc o utrudnieniu studjów wyższych, ograniczenie nauki w szkole średniej ogólnokształcącej do jednego tylko języka nowożytnego? Czy przesuwanie początków na co raz późniejsze lata nie odbija się ujemnie na wynikach, nie mówiąc o zabieraniu drogiego czasu innym, bardziej konkretnym przedmiotom? Nie wypowiadam własnego zdania, poruszam samo zagadnienie, wypowiedzieć się powinni sami wychowankowie nowych typów, pracujący obecnie samodzielnie na różnych polach, rodzice — zwłaszcza ci, których starsze potomstwo przechodziło dawniejsze szkoły o paru językach, a młodsze kształciło się już w nowych typach, sze-

fowie rozmaitych instytucyj, nawet sezonowi emigranci za granicę.

Albo inny, mniej zasadniczy szczegół. Czy przyspieszenie o 10 dni początku roku jest pożądaną inowacją? Nie mówiąc o urzędnikach, ale czy dla rolników, kończących żniwa, często nie mających jeszcze czasu na omłoty, nie będzie to utrudnieniem? Czy nie spowoduje partactwa u samego początku nauki dla niemożności zakupu podręczników, albo upoważni wygodniejszych nauczycieli do niepedagogicznego powtarzania materjału dawnego, zabijającego zainteresowanie naukowe nowym materjałem i to w najlepszym czasie dla nauki?

Wszak przed laty żartobliwie wyraził się S. Szczepanowski, że nie tylko krawcy mają prawo do oceny surduta, lecz przynajmniej w równej mierze ci, którzy go noszą i zań płacą.

Ale bliższy kontakt społeczeństwa ze szkołą ma jeszcze inne znaczenie. Może on wskutek dokładniejszego poznania i zrozumienia wzajemnego usunąć niejeden dysonans, owszem doprowadzi do zgodnego współdziałania domu i szkoły w dziedzinie wychowawczej, wbrew tendencjom żywiołów rozkładczych i wywrotowych. Dalej nauczycielstwo, w obecnych ciężkich i niepewnych czasach, nie będzie się czuło wyizolowane i osamotnione, co oczywiście przyczynić się może do wysłonecznienia atmosfery szkoły, wprowadzenia w pracy spokoju i harmonji, zwłaszcza ważnej w sferze wychowawczej. Społeczeństwo powinno się interesować nie tylko materjalną i formalną stroną szkoły, lecz przedewszystkiem jej życiem.

Bo, jak słusznie powiedział L. Zarzecki, „nie tyle programy, laboratorja i pomoce naukowe rozstrzygają o wartości szkoły, ile żywy człowiek, nauczyciel, z którego ust płynie nauka żywa, który wnosi z sobą tę atmosferę pogodną, pełną słońca i życia i tej powagi, którą daje miłość wielkich rzeczy”. A to wszystko stać się może, gdy będzie on się czuł nie bezduszną maszynką, nakręcaną i kierowaną przez czyjekolwiek widzimisię, lecz organiczną cząstką, świadomej i współczującej społeczności.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

INGERENCJA PAŃSTWA W ŻYCIU GOSPODARCZEM

(Dokończenie)

MÓWIĄC o zagadnieniu ingerencji państwa w życiu gospodarczem — nie mam potrzeby poszukiwania prawniczo ścisłego i wszechstronnego określenia państwa. Zdaje mi się, że dla naszego zakresu zainteresowań wystarczy, gdy określimy państwo jako narzędzie działania i woli narodu, jako instytucję, której zadaniem jest czuwanie nad wypełnieniem potrzebnych obowiązków wobec wspólnej sprawy, oraz nad zachowaniem określonej linji rozwoju narodu. Z uznania wielkiej doniosłości oświaty dla celów narodu zrodził się postulat jej powszechności i realizacją jego zajęło się właśnie państwo demokratyczno-liberalne. Nieskażony liberalizm kazałby dostosować „podaż“ oświaty do „popytu“ na nią; nauka jednak byłaby droga i stąd „popyt“ na nią mógłby się okazać niedostateczny. Stworzono — w państwie liberalnem—sztuczną poniekąd „podaż“ oświaty i zastosowano przymusowy „popyt“.

Należy się teraz zdecydować: czy życie gospodarcze narodu należy uważać za jedną z najważniejszych, najmniej obojętnych jego dziedzin, czy też za obojętną. W pierwszym wypadku nie widziałbym żadnych danych po temu, by stosunek doń państwa oprzeć na zasadniczo różnych podstawach, niżli to ma miejsce w innych, podobnej doniosłości dziedzinach, jak oświata, zdrowie publiczne, bezpieczeństwo i t. p. Mogą, a raczej muszą być różnice, podyktowane różną istotą samych zagadnień, różnym rodzajem ich wymagań i t. p.; chodzi mi tylko o wyrażenie przekonania, że to narzędzie woli narodu, jakiem jest państwo, nie powinno ustosunkować się obojętnie do życia gospodarczego. Nie wynika więc z tego, że skoro bezpieczeństwo wzięło w swe ręce państwo — dlatego ma wziąć i życie gospodarcze; to byłby absurd i doktryneryzm, o który gdybym był posądzony, byłoby to dla mnie dużem zmartwieniem. To jednak dodam, że ktokolwiek widzi obowiązki państwa wobec życia gospodarczego, nie może zamykać oczu i na jego prawa w tej dziedzinie.

Należy również zdać sobie sprawę z tego, że gospodarka narodowa nie jest przecież sprawą zainteresowania czysto prywatnego, jest natomiast sprawą, obchodzącą zbiorowość. Gdy przedsiębiorstwo prywatne — zwraca uwagę w jednej ze swych mów B. Mussolini — przekracza pewne granice, przestaje być przedsiębiorstwem prywatnem *sensu stricto*, staje się zaś czemś, czego losy obchodzą ogół; losy jego stają się zagadnieniem publicznem. Prywatnem przedsiębiorstwem było rzemiosło, lecz gdy jakaś instytucja kredytowa, zakład handlowy, jakiś bank ma nadzór nad miljonowemi majątkami, daje pracę tysiącom i dziesiątkom tysięcy ludzi — jakże można myśleć i mówić w tym wypadku o interesie czysto prywatnym? O tem, że jego dobre lub złe koleje obchodzą tylko akcjonarjuszy lub dyrektora? Tak nie jest! Takie zakłady obchodzą cały naród — i państwo, organizacja narodu, nie może być tu obojętne, bowiem inaczej musiałoby być obojętne w sprawach wielkiej doniosłości — a to nie da się pogodzić z jego istotą.

Już poprzednio wolę ludzką uznaliśmy za jedną z sił życia gospodarczego; narzędziem woli narodu jest państwo — również wśród sił życia gospodarczego narodu nie należy pomijać woli jego, która powinna działać właśnie przez państwo. Mimo iż nie jest wskazanem, by państwo uczestniczyło bezpośrednio w życiu gospodarczem tam, gdzie lepsze rezultaty daje rzutkość prywatna, to jednak z jego w roli stróża wykonywania obowiązków wobec wspólnej sprawy wypływają pewne jego uprawnienia i w zakresie życia gospodarczego. Prawem i obowiązkiem państwa jest dopilnowanie, by prywatna inicjatywa gospodarcza szła

po torach zgodnych z dobrem i celami narodu; powinno ono mieć prawo wglądu wówczas, gdy obowiązki przedsiębiorcy wobec wspólnej sprawy nie są wykonywane; państwo może wkroczyć jako czynnik nadzorujący wówczas, gdy wolna gra sił gospodarczych grozi doprowadzeniem do zwyrodnienia, przerostu pewnych objawów gospodarczych — kosztem innych; nie zdaje się, by słusznem było zdanie, każące państwu patrzeć obojętnem okiem na to. W myśl zasady maksymalnego zysku społecznego przekłada się nad inną — inicjatywę prywatną w tem słusznem przekonaniu, że ona właśnie da największe zyski. Nie trzeba jednak twierdzić zgóry, że suma maksymalnych zysków indywidualnych da nam maksymalną korzyść dla narodu. Stąd właśnie płynie konieczność koordynacji, ujednolicania, nadzoru, niekiedy nawet pokierowania i zastąpienia inicjatywy prywatnej. Mogą zajść okoliczności, gdy należy zrezygnować z maksymalnych korzyści materjalnych — dla uzyskania innych celów. Sędzią w tym wypadku może być państwo.

Aczkolwiek zdaje się, że hasło *laisser faire, laisser aller* inaczej było rozumiane w latach, bliskich jego narodzinom, to jednak tak, jak się je dziś czasem powtarza, zdaje się być postulatem rezygnacji z wpływu państwa w jednej z najważniejszych dziedzin życia narodu. Dla zasady wolności gospodarczej można wiele zrobić, ale trzeba zawsze pamiętać o tem, że — tak gdzieindziej, jak i na tem polu — wolność nie może być celem; jest tylko środkiem. I jako środek powinna być opanowana i nadzorowana.

Wolność indywidualistycznego liberalizmu, nie biorąc pod uwagę całokształtu gospodarstwa narodowego i jego wymagań, prowadzi do uświęcenia swawoli przeciwieństw między jednostkami i zorganizowanemi grupami; przez to — w imię wolności jednostek i zrzeszeń — dochodziło się właściwie do uznania inercji państwa za jego cnotę, ku szkodzie pierwiastków moralnych, politycznych, a często i gospodarczych narodu.

Jak raz powiada włoski prawnik i profesor, Carlo Costamagna, uznanie zasady koordynacji przedsiębiorczości prywatnych oraz podporządkowania czynników gospodarczych jedynej i jednoczącej władzy, zdaje się nawet nieść ze sobą zbawienie organizacji gospodarczej, opartej na zasadzie własności prywatnej; dotychczasowy stan bezwładu groził zniszczeniem istniejących stosunków gospodarczych i społecznych; zaś przeciw niebezpieczeństwu, z tem związanemu, jakby instynktownie powstawał system klasowej obrony własnej. Uznanie zasady koordynacji w życiu gospodarczem nie powinno prowadzić do wchłaniania kapitałów i ogarniania życia gospodarczego przez państwo - przedsiębiorcę, w myśl zachęt kolektywizmu, lecz do podporządkowania państwu - prawodawcy prywatnej przedsiębiorczości gospodarczej. Przez uznanie nadzoru państwa w zakresie życia gospodarczego wyraża się zasada podporządkowania interesów gospodaczych względom ogólnym, politycznym, reprezentowanym przez państwo. Przez to — życie gospodarcze zostaje oparte na tych samych ogólnych podstawach, co wszelkie inne gałęzie życia narodu.

* * *

Na zakończenie dodam, choć chyba to jest jasne, że w artykule tym nie chodziło mi o koncepcję t. zw. gospodarstwa planowego. Prof. R. Rybarski w przytaczanej już książce pisze (str. 146): „Pojęcia gospodarki planowej nie można uważać za jednoznaczne z istnieniem planowości w gospodarstwie"; chodziło mi o zapewnienie tej planowości w gospodarstwie. Nie chodziło mi też o t. zw. gospodarcze granice ingerencji państwa; chodziło mi natomiast o to, jaka rola powinna przypaść państwu w życiu gospodarczem narodu na to, by całokształt tego życia najwięcej na tem zyskał; całokształt — więc jedna jego część, życie gospodarcze, mogłoby nawet (wyobraźmy sobie taki wypadek) stracić; chodzi mi o pewne *optimum* życia narodu.

Zdaję sobie sprawę z tego, że chęć oparcia życia gospodarczego na naszkicowanych wyżej przesłankach w rzeczywistości natrafiłoby na niemałe trudności i tarcia. Ale jakiż system wolny jest od tego? Wszak w dużej mierze jako reakcja na złe funkcjonowanie doskonałego liberalizmu zbudził się socjalizm, ze swym rozpaczliwym i bezradnym projektem rozwiązania całego współczesnego ustroju. „Wielkie złudzenie" — powiada przytaczany już prof. Rybarski — „niepewność jest związana z każdym ustrojem gospodarczym. Bez niepewności nie byłoby życia".

Wobec przywołania państwa na jego miejsce w życiu gospodarczem, niemałą trudnością byłoby uniknięcie powrotu do dawnego prohibicjonizmu, do przesadnego protekcjonizmu, z wielością różnych zakazów, niebotycznych ceł... Nie o to chodzi—to wszystko doskonale potrafiły robić i rządy liberalne. Dużo wysiłku musiałoby pochłonąć odnalezienie takiej granicy w tym udziale państwa w życiu gospodarczem, która wydałaby się wskazaną, nie pozwalając na popadnięcie w socjalizm państwowy, demagogję i tym podobne plagi.

Pisząc o zagadnieniu ingerencji państwa w życiu gospodarczem, miałem na myśli—rzecz prosta—państwo i gospodarstwo polskie. Wydaje mi się, że charakter, wymagania życia polskiego nie pozwalają na całkowitą nieobecność państwa w życiu gospodarczem. Nie będę się zaś spierał o absolutne walory takiego ujęcia sprawy, jakie znalazło się w tym artykule. Zresztą na tle tego rozumienia polityki gospodarczej, jakie zarysowane było w pierwszych częściach tego artykułu — spór taki wydałby mi się bezprzedmiotowy.

Zdawaćby się mogło, że o właściwym temacie artykułu mówię dopiero w ostatnich jego częściach, poprzedzające poświęcając czemu innemu. Sądzę jednak, że te pierwsze części tłumaczą poniekąd pewne rzeczy z ostatniej; np. taka rola państwa, jaką zarysowano pod koniec, wynika — zdaje się — z takiego rozumienia polityki gospodarczej, jakie zarysowano poprzednio.

Pominąłem próby bliższego określania pewnych spraw, co — choć może i przydałoby się — to jednak zaprowadziłoby nas zadaleko poza granicę tematu; dla przykładu wymienię pojęcie warsztatu pracy, którego użyłem na początku. Przydałoby się również wskazanie tu i ówdzie na łączność wewnętrzną niektórych zdań w różnych częściach wywodu; pominąłem jednak i to — a to dlatego, że wydawało mi się to — mimo wszystko — balastem, przedłużającym i bez tego przydługi artykuł.

JAN ZIEMSKI

SAVONAROLA

(URYWEK DRAMATU „BŁĘKITNY KRZYŻ“)

W tece redakcyjnej zachowaliśmy urywek dramatu pióra przedwcześnie zmarłego ekonomisty i socjologa, Włodzimierza Wakara, który poniżej drukujemy. Próba wypowiedzenia się w formie nowej dla niego, mianowicie utworu artystycznego, cokolwiek możnaby powiedzieć o scenicznych czysto walorach dzieła, jest jednym więcej dowodem niezwykłej żywości i siły twórczej niepospolitego niezaprzeczenie, umysłu autora.

FLORENCJA. Wiek XV. *Piazza della Signoria.* Wieczór. Na przedzie tłumu Savonarola przed wielkiem paleniskiem. W ręku ma czaszkę trupią z kości słoniowej. Płoną książki, rzucane w ogień z tłumu.

SAVONAROLA. Płoń, Bokacjuszu! Giń, Dekameronie! Artystą byłeś wielkim i księgęś stworzył nielada. Jak gromię wszem wobec gnuśność, przedajność, rozwiązłość ludzi, co się na czoło wam stawiają, jako kościoła przywódcy, czyniłeś to również z talentem nieprzebranym i położyłeś zasługę niezmierną. Nie za to, wierni, ginie dziś Bokacjusz, że walczył z ułomnością kleru. Zaprawdę na szalach sądu ostatecznego to mu skróci mękę czyśćcową. Lecz, że, ganiąc rozpustnego mnicha, pochwalał wszeteczną dziewkę i wiarołomną żonę, że za pasterzem niedoskonałym nie dojrzał Kościoła i burzył go na wierzchni życia i w wnętrzu sumień, niech płonie twa księga w ogniu siarczystym, w ogniu piekielnym, i jeśli dokonamy dziś tego, że cię zapomną doczesne narody, duszy twej wiecznej ulży to, duszę twą zbawimy. Pomnijcie, że odtąd, kto tę księgę bezecną zachował, kto ją przez pustą, niezdrową ciekawość wertuje, dzieło nasze dzisiejsze niszczy, autorowi zaś drugi grób grzebie w wieczności!

GŁOSY. Niech ginie w świecie, niechaj żyje w zaświatach!

SAVONAROLA. Tak postępujcie zawsze, jak wam prawię: Nienawidźcie grzechu. Ścigajcie go w sobie, ścigajcie w innych, niszczcie go i skutki jego, przez to ludziom grzesznym bramy zbawienia otwieracie, oczyszczacie dusze ich za życia i po zgonie. Miłujcie grzeszników! Dla dobra ich przygany im nie oszczędzajcie. Korzyć się przed grzechem nie jest miłością bliźniego, jest większym jeszcze grzechem, grzechem Piłata! Z tą prawdą wszedłem między was i z Florencji, uwięzłej we wszetecznem ducha zaniedbaniu, uczyniłem Florencję kwitnącą wiarą, czynem, sztuką.

GŁOSY. Lecz wrogów masz wielu, co czyhają na zagładę twoją, doktorze, i przybierają na siłach.

SAVONAROLA. Nie są to moi wrogowie, o wierni. Są to wybujałe siły szatańskie, szukające żeru w duszach słabych, w ludziach nierozumnych, co nieświadomi są tej jasnej, krótkiej prawdy, że nie powołani jesteśmy na świat do przelotnej zabawy w życie. Chrystus, dzieląc się z nami ciałem swem i krwią swoją, zaprosił nas do współuczestnictwa w tworzeniu: wielu, powiedział, jest powołanych. Czyńmy, by tyluż było wybranych.

GŁOSY. Niech żyje brat Girolamo. *Lumen ad revelationem gentium et gloria plebis tuae!*

TURRIANO. Udzielcie głosu i mnie, o Florentczycy. Jestem jenerałem Zakonu, którego jest bratem Girolamo, wasz wódz i oblubieniec. Oddawna słyszeliśmy o wielkiej pobożności jego i łaskami obdzielaliśmy go sowicie. Zauważyliśmy wszakże, że w kazaniach swoich nawołuje wprawdzie was do wiary, ale mir w sercach waszych napawać go zaczął grzeszną pychą. Przed chwilą słyszeliśmy, że wyklinając grzesznego zaiste Bokacjusza, za zasługę mu poczytuje, że walczył z księżmi. Któż wam przewodzić będzie w życiu duchowem, gdy obalicie władzę prawowitą? Dla siebież samego Savonarola to zostawia? Czyż nie jest więc nędznym pyszałkiem? (Głosy oburzenia). Więc nie wierzycie mi? Ale gdy Savonarola stawia nas w stan oskarżenia, my stawiamy jego. Któż rozstrzygnie, po czyjej stronie prawda? Chyba Sąd Boga! Jeżeli Savonarola nie jest heretykiem, odstępcą i bluźniercą, niech stanie w tem palenisku, a Bóg niech sprawi cud. Jeśli słuszność po twojej stronie, nie doznasz poparzeń i upokorzymy się przed tobą.

GŁOSY. I cud się stanie!

SAVONAROLA. Ojcze Turriano, przemawiasz językiem złego łotra, co od Chrystusa żądał, by zszedł z krzyża.

TURRIANO. Widzicie więc, że wasz Savonarola lęka się sądu Bożego.

GŁOSY. Savonarolo, okaż nikczemnikowi cud Boski.

BUONVICINI. Bracie Girolamo, zażądaj, by ojciec Turriano pierwszy w tym ogniu swą słuszność okazał.

SAVONAROLA. Nie kuś mię, bracie Buonvicini. Nie wolno mi tego uczynić, gotów jestem raczej zginąć w tym ogniu, aniżeli wziąć go za dowód prawdy. Chodźmy stąd, wierni, od tych praktyk pogańskich jak najdalej.

(Głosy rozczarowania).

TURRIANO. Słaba jest twa wiara, bracie Girolamo, i to cię najwięcej oskarża. (Tłum wychodzi za Savonarolą).

TURRIANO. Przekonał się brat, bracie Buonvicini, jakie spustoszenia czyni w duszach maluczkich brat Savonarola, walcząc Chrystusem z władzą kościoła triumfującego. Ze strachem to widzę, iż uwiódł Florencję i panuje nad nią.

BUONVICINI. Ojcze Turriano, jenerale Zakonu, czyż z wysokości stanowiska waszego nie jest widoczne, jak pobożnego dokonał dzieła?

TURRIANO. Jesteśmy dość świątli obaj. Czy tobie nie raduje się serce, gdy widzisz, jak odradza się dokoła wielka starożytność, jak ze źródeł jej bije rozkwit sztuki, jak ludzie zaczynają odczuwać doniosłość kształtu dla kształtu! Florencja przodowała w tem do przyjścia Savonaroli. Owszem, nie żal mi Bokacjusza, bo istotnie nie przedstawiał nas, duchownych, w świetle korzystnem. Ale Savonarola niszczy z Bokacjuszem humanizm. Jakież są ideały jego, jeśli nie zerwanie z Rzymem antycznym, nie zburzenie postępu i odrodzenia w imię demagogicznej pleśni kościelnej, z którą zerwaliśmy w duszy i w którą nikt rozsądny nie wierzy?

BUONVICINI. Zapewniam was, że Savonarola, jak patron jego święty Hieronim, wielbi Cycerona i zna starożytnych. Sztuka Florencji nie upadła zaś, lecz się podniosła i zdobyła kierunek. Odrodzenie to właśnie brat Girolamo. On daje tematy Michałowi Aniołowi i Leonardowi da Vinci, choć z tego nie zdają sobie sprawy.

TURRIANO. W bolesnym błędzie jesteście, bracie Buonvicini, obawiam się, że nieprzejednanie nie zyska wam łaski apostolskiej stolicy. Bo nie ukrywam, iż ostatnie dziś kazanie wygłosił brat Girolamo.

BUONVICINI. Zaprawdę powiadam wam, że świetności służy Kościoła ponad czasem i wam jej pogrześć nie da, chociaż do tego niebacznie dążycie. Ja zaś jego dobrym sąsiadem zostanę choćby na szubienicy (rozchodzą się).

Zapada noc. Przy stole grają w karty bankier, balwierz' malarz, bakałarz i Machiavel. Bakałarz i malarz trzymają półnagie dziewczęta na ręku. Za nimi wielu przyglądających się grze. Z boku stół lichwiarza, pilnie grę śledzącego. Na dalszym planie taniec syren.

MALARZ. Zgrałem wszystko. Ostatnia stawka.

MACHIAVEL. A mnie, com zasiadł po raz pierwszy, szczęście sprzyja.

BALWIERZ. Stawiajmy.

BANKIER. Wygrany Machiavel. Zachęca cię los, byś zrzucił cnotę, jak łuskę dojrzewający wąż. Ledwieś swój upór złamał, wychodzisz bogaty.

MACHIAVEL. Burzy się krew w moim mózgu. Wczoraj jeszcze szedłem w szeregach Savonaroli jako *piagnoni* i płaczem jego chciałem odrodzić ojczyznę. Dziś natura prostuje się i o rozkosz ziemską woła.

BAKAŁARZ. Grajmy,

MALARZ. Stawiam pierścień szczerozłoty, djamentem zdobny rodziny, co mi więcej dała, aniżeli do was przegrywać; raczej rządzić wami. Sztuką zwiedziony, poświęciłem się boskiemu malarstwu, lecz na dno wasze stoczyły mię kłęby zazdrości i niechaj ginie znak ostatni, żem się nie urodził cyganem.

BANKIER. Nie przyjmuję. Zastaw go pan u żyda.

MALARZ. Widzisz to złoto, żydzie, i kamień drogocenny. Ile mi dajesz pod zastaw?

LICHWIARZ. Mnie to niepotrzebne.

MALARZ. To nie siedź tu i nie kuś, szatanie. Ile mi dajesz, albo odezwie się we mnie krew patrycjusza.

LICHWIARZ. Masz pan.

MALARZ. Tyle? On przecie stokroć wart. No postąp trochę.

LICHWIARZ. To go przedaj stokroć.

BANKIER. Żydzie, czyś nie dość zarobił, żeś za mnie postawił grę.

MALARZ. Dawaj, wygo, co dajesz. Ostatnia stawka.

BANKIER. Machiavel wygrał. Fortuna cię kusi, młodzieńcze.

MALARZ. I grzebie mnie. Ją stawiam, bo już tylko ją mam.

KOCHANKA. Nie godzę się, nie jestem sztonem... jak zechcę, sama się postawię...

BANKIER. Nie przyjmuję. Chyba za zgodą ogólną.

MACHIAVEL. Przystaję. Niechaj idzie do mnie.

BAKAŁARZ. Lub do mnie. Co powiesz, luba, jak was przyprowadzę dwie?

KOCHANKA. Gdzie przyprowadzisz? do mnie czy do niej? boć nie do siebie, nędzarzu, — a więc do żadnej.

BANKIER. Przyjęte. Wygrał Machiavel.

KOCHANKA. Ale ja nie chcę może.

MACHIAVEL. Ja chcę, wygrałem cię i tak być musi.

MALARZ. Trucizny mi, żebym i siebie mógł postawić jeszcze!

SAVONAROLA. (Wchodzi. Taniec ustaje, syreny zatrzymują się w miejscu). Dzieci Chrystusa, takoż trwonicie w zapamiętaniu grzesznem wielkoduszny dar Jego?

TANCERKI (w intonacjach od ironicznej do pokutnej). Trwonimy, trwonimy, trwonimy.

SAVONAROLA. Gdybym zaś przypomniał wam matki, co dziewczęce włosy pieściły wam, sobie rokując, iż rosną im pociechy doczesne i wieczne? (ostro) Matki pamiętacie?

Dwie-trzy tancerki klękają.

KTÓRAŚ Z TANCEREK. Lecz ojców nie pamiętamy!

SAVONAROLA. Hańba im! i wam, córom grzechu! Wszak mimo to jesteście jeszcze ludźmi i podobieństwem Boga, czy tylko już zabawką pijaków i graczów?

KOCHANKA. Mistrzu, nie gna tu nas nic, jeno zły los i przeznaczenie.

SAVONAROLA. Kłamiesz. Przebierasz się po nocy dla rozpusty, tajemniczym kluczem wymykasz się z bramy, lecz jesteś córką....

KOCHANKA (zamyka mu usta). Uczynię, co każesz, lecz nie wymieniaj mego upadku, bo go od rozgłosu strzegę tem, co we mnie z bojaźni Bożej zostało.

SAVONAROLA. Malarzu, podejdź tu! Jakieś sobie życie obrał pochyłe? Czyś po to świat swój porzucił, byś pieścił dziewczęta wszeteczne i zgrywał majątek, a talent przepijał? Czy też widziałeś przeznaczenie swoje w sztuce?

MALARZ. Inaczej życie swe widziałem ułożone.

SAVONAROLA. Boć do malarstwa nie z kościoła i Boga brałeś natchnienie, ale z rozrywek swoich. I twe obrazy na stos wyrzuciłem całopalny, skoroś na wzór madonn świętych wziął damy florenckie, z obyczaju niesłynne.

MALARZ. Talentem się kierowałem i z talentem czyniłem to.

SAVONAROLA. Nie temu przeczę, lecz dar wielki splamiłeś nierozumem i niepowagą. Opamiętaj się. Uszanuj swą iskrę buntu. Idźże i maluj. A bądź w swej sztuce tem, czem powinieneś być i zdołasz: kapłanem!

MALARZ. Lecz mnie kapłani inni za kapłana nie uznają.

SAVONAROLA. Łatważ twa rezygnacja! Zanim do walki przystąpiłeś, z dobrej woli deklasujesz się i wołasz, żeśmy temu winni. Walcz o kapłaństwo swoje. Jeśli nie zdołasz walczyć,—talent jest przywidzeniem twojem. A jeśli talent masz naprawdę, raczej zgiń, lecz godnie.

MALARZ. Czyż sztuce potrzebne uznanie?

SAVONAROLA. Uznanie jest niewolą. Lecz wielki talent nie lęka się niewoli i przed nią się ostoi. Nie przyjmą cię kapłani w poczet swój dzisiaj, zabłyśniesz więcej od nich po swoim i ich zgonie. Lecz walcz o tę niewolę, przez uznanie jednych dopiero trafisz do maluczkich, — bowiem jeżeli tu przed walką uchodzisz, to albo talent twój jest mały, albo charakter twój.

MALARZ. Idę za tobą, mistrzu.

SAVONAROLA. Bakałarzu, gdzie twoje nauki? czy pobierasz je tutaj?

BAKAŁARZ. Zabawa studencka. Jak skończę nauki, już tu nie będę.

SAVONAROLA. Więc po co się uczysz? Czy po to, by zyskać na utrzymanie dostatnie, czy po to, żeby, cierpiąc biedę, wiedzą świecić?

BAKAŁARZ. Pomyślę o tem.

SAVONAROLA. Jakaż siła gna rzesze wagantów i żaków z Upsali do Bolonji i z Krakowa do Coimbry? Od uczonego, co pobudził ciekawość, do drugiego, co daje wiedzę, trzeciego, co pracuje nową metodą, czwartego, co odkrywa światy w niedostrzegalnych rzeczach. Grzeszy z nich wielu, co swój rozum słaby i marną ambicję za miarę świata widzą. I ciężki jest grzech ich, z którego wiekowe wypłyną nieszczęścia. Już patrzę, jak świat stawiają na głowie, na swojej głowie niedoszłej...

BAKAŁARZ. Cóż czynić mam, mistrzu i doktorze?

SAVONAROLA. Ucz się od nich, serce mając spokojne i pogląd szeroki.

BAKAŁARZ. A uciech tych oto?.. Żyję przecie raz tylko...

SAVONAROLA. Żyjemy raz tylko. Sprawdzianem charakteru twego będzie. czy zechcesz zrozumieć to, czy też się tem ubawić.

BAKAŁARZ. Doktorze i mistrzu, głowa moja jest niemocna, lecz i wola nie krucha. I odtąd wierniejszego niemasz nade mnie.

SAVONAROLA. Nasamprzód społem wyrzućmy tego lichwiarza. Puhaczu, żerujący po nocach, wypędziłem cię ze dnia, czyhasz więc teraz na słabości istot wielkich, co swej nie szanują wielkości. Szakalu, na padlinę czatujący, zwijaj się, póki nie późno.

LICHWIARZ. Dziś dzierżysz jeszcze wiele, bracie Girolamo i muszę być powolny. Porzucam ten stolik i idę. Tracę tam trochę klejnotów i monet. Ale je tracę chętnie. Boś się pomylił, bracie Girolamo. Sprzyjać gotowiśmy byli tobie. Wraz z tobą umoralnialibyśmy potrosze społeczeństwo florenckie. Na ciebieby płynął splendor, bo nie ubiegamy się o to, na nas może nieco korzyści. Wzgardziłeś pomocą naszą. I chętnie ci oddaję stolik ten, bo będzie twoim grobem. Kto z nami nie idzie, ginie. Twoje drogi zbyt proste pokrzyżowaliśmy z ubocza. Łatwiej mi trafić do niechętnych ci wśród twojej zwierzchności, niż tobie przeciwstawić się im. Wydaje ci się, że jesteś silny mocą własną. Nie, władzę swoją grze obcych potęg zawdzięczasz niechcący. Niema jej dziś i jesteś niczem. Słońce nie wzejdzie, a będę pomszczony.

SAVONAROLA. Dzieci, słyszące zuchwalstwo? I nic w was nie grzmi?

MACHIAVEL. Starczyłoby, bym podszedł doń, a go tu nie będzie. (Żyd ucieka).

SAVONAROLA. A jednak z nim trzymasz. I do ciebie nie mam słowa. Nie jesteś marnotrawny, lecz marnotrawiony.

MACHIAVEL. Nie, ojcze mój i doktorze. Szedłem za tobą tak długo, póki wierzyłem, że twój ogień boski odbuduje ojczyznę. Dziś widzę, że twe wezwania są płonne. Krótsza droga do ocalenia ojczyzny prowadzi przez djabła. To też już nie w narodzie będę szukał siły twórczej, ale w szatańskich ambicjach Borgii lub Medyceusza. Cel mój uświęca środki.

SAVONAROLA. Tak, postawiłem sobie jako cel ojczyznę. Już wiem, że nie osiągnę go. Cieszy mię, że ty płoniesz dlań i w tem mi jesteś bratem. Ale ostrzegam cię. Na drodze swojej stawiaj krok każdy z obliczeniem, by narodowi twemu dawał korzyść, chociażbyś kroku następnego nie zdołał sunąć.

MACHIAVEL. Ta mała gra mię przekonywa, że gdy się ryzykuje, można coprawda przegrać, ale i wygrać.

SAVONAROLA. Nie stawiaj narodu na kartę. Wierzę ci, że moralność tłumisz w szlachetnym celu, lecz się przekona twoja dusza, że drogi krótszej szukając, naród i siły jego marnotrawisz, a cel odwlekasz na wieki. Djabeł kusi, lecz naród zbawi dopiero kiedyś Bóg.

MACHIAVEL. Wszak tobie, mistrzu, mimo uporu i szlachetności, Bóg nie sprzyjał.?

SAVONAROLA. Choć cele mamy wspólne, największego w twem zboczeniu widzę wroga, dróg boskich strzegę, szatańskim się przeciwię. A duszę twą i naród swój chcę zbawić. To też jeżeli dożyjemy jutra, nie ukarzę cię, jak bez przelewu krwi.

BALWIERZ. Cóż ja usłyszę.

SAVONAROLA. Chcę wiedzieć naprzód, czy miłujesz zawód, któryś swobodnie obrał?

BALWIERZ. Czyż go miłować sposób? Czyżem nie wyższy nad to, by golić brody i pijawki stawiać? Tu szukam ukojenia pragnień wielkich, których urzeczywistnić już mi się da.

SAVONAROLA. Mógłbyś, porządnym będąc rzemieślnikiem, pragnienia nieziszczone przekazać dzieciom w wychowaniu poczciwem. Nie byłożby to piękne zadanie? Ale i fachem swoim nie gardź. Znachor i balwierz, dwa to są dzisiaj zawody, z których jeden wyrośnie w wielką naukę i dostojność, a drugi w nicość spadnie. Od twej wartości zależy, który zwycięży. Zapowiadam ci, że jeśli duszę włożysz w to, co czynisz...

BALWIERZ. W to duszy włożyć nie sposób.

SAVONAROLA. Jeśli artystą zechcesz być, kapłanem zdrowia, sprawnym opiekunem klijentów, będziesz wielki. Z żywotów świętych czy nie poznałeś dziejów igrca, co do klasztoru wstąpił, lecz modłów nie umiał. To też pokryjomu w nocy przed obrazem Matki Boskiej sztuki kuglarskie pokazywał. Zeszedł go przeor i za potępionego uznał, co z majestatu się naigrawa. Lecz wtem z ócz Madonny łza się polała. A zrozumiano, że miłą jej była święta igrca prostota. I ty, jeśli brody goląc, sławić będziesz tą służbą Imię Boże, zaiste dostąpisz łaski. Ale nie widzę w tobie usposobienia tego. Ode mnie rozgrzeszenia nie uzyskasz.

KOCHANKA. Mistrzu, czyżbyś nie miał słów pocieszenia prócz wszystkich i dla mnie?

SAVONAROLA. (Zamyka oczy ręką). *Apage!* Takieś sobie postanowiła życie, że mojej rady nie pragniesz.

KOCHANKA. Moje życie zbyt młode, bym je postanowiła, a doświadczenie duże, bym twojej potrzebowała wskazówki.

SAVONAROLA. Wstręt mam do grzechu, lecz sam nie jestem godny i w grzeszników kamieniem nie rzucę. Możesz-li pójść stąd?

KOCHANKA. Już niemasz dla mnie odwrotu.

SAVONAROLA. Okrutny, niesłuszny, przedwczesny sąd na siebie wydajesz. Lecz jeśli grzechu w sobie zmódz nie możesz, jeśli burzy się krew w tobie i wytryska chucią bezecną, pamiętaj, że i w grzechu są stopnie. Jeśli nie błądzić nie zdołasz, nie przebaczy ci Zbawca, bo przez ciebie i z tobą grzeszą inni, a przykład dajesz gorszący. Lecz niech cię tymczasem Bóg uchowa przed większą przynajmniej hańbą. Uszanuj w sobie godność grzesznicy pospolitej. Nie spuść się niżej—do zbrodni sprowadzania na manowce dziewic innych. Strzeż je przykładem swoim, a nie zachęcaj. Bądź wobec mężczyzn pancerzem cnoty panien. Nie gaś ognisk rodzinnych, a pilnuj, by mąż niewierny cudzego nie kalał gniazda i swego związku nie zrywał. Gdy łatwym upustem pospolitej żądzy będziesz, by chronić ludzi przed upadkiem straszniejszym, może łaskawszem na ciebie spojrzy okiem Ten, co wiele odpuszcza...

ZBIRY. Tu jest Savonarola! Tu jast potępieniec!

TURRIANO. Sąd się odbywa nad tobą. Pójdziesz za mną zeznać twe winy.

BUONVICINI. Chwytam za słowo ojca jenerała i proszę mię również prowadzić.

BRAT SYLWESTER. Toż samo i ja.

MALARZ. Nie pozwolimy ruszyć z miejsca świętego brata Girolamo. Chłopcy, dziewczęta, zaklinam was, rozpędźmy zgraję. (P o m i ę d z y z b i r a m i a S a v o n a r o l ą t w o r z y s i ę m u r o b r o ń c ó w).

MACHIAVEL. (P r z e c h o d z ą c d o z b i r ó w) *Sic transit gloria mundi.* Widziałem w tobie zbawcę narodu, a dziś jesteś nędznym skazańcem. Dla siebieś rozniecił ogień, w którym chciałeś nieśmiertelnych palić.

SAVONAROLA. Przepuśćcie mię, drodzy moi, których tyle smagałem chłostą miłości. Idę na sąd. Nie uczynią mi więcej, niż Annasz i Kajfasz Zbawicielowi, choćby tortur nie wytrzymało zdradliwe i słabe ciało moje. Tak, rozniecіłem ogień. Zostaną w was iskry jego po wieki wieków. Sam byłem iskrą zesłaną przez Boga. Bóg wybrał czas, dla ciała mojego zawczesny. To też zginąć musi z rąk tych siepaczy. Ale nie zesłał jej nadaremnie. Będzie niesfornym kolcem przeszywała dzieje, chociaż przyćmiona, a pewni bądźcie, że rozetli się kiedyś blaskiem, i dzisiejsza wiara moja, za którą życie wnet złożę, ogarnie świat pożarem, a w nim pochwalon będzie Bóg, rozkwitnie ojczyzna i dusze wasze dopną zbawienia. Amen.

TURRIANO. Niech ginie w świecie, niechaj żyje w zaświatach.

(Savonarola postępuje razem z braćmi Buonvicinim i Sylwestrem za Turriano do Signorii. Zbiry ustawiają szubienicę ze stołka lichwiarza. Nad tłumem wznosi się na szubienicy aureola Savonaroli w ogniu. Tłum wznosi okrzyk: *Laudetur!* Zasłona spada).

WŁODZIMIERZ WAKAR

RUDYARD KIPLING

PIEŚŃ O PIĄTEJ RZECE

(Z powieści „*Puck of Pook's Hill*", która wkrótce ukaże się po raz pierwszy w polskim przekładzie. Dotychczas istniała tylko przeróbka, dokonana przez dwie Izraelitki: Niemirowską i Arnsztajnową, które ze zrozumiałych względów pokiereszowały tekst książki Kiplinga, wypaczając wiele ustępów, a pomijając całkowicie zarówno wiersz poniższy, jak i należącą do niego opowieść „Skarb i prawo").

Gdy cztery potężne Rzeki
zaczęły płynąć przez Eden,
nad każdą prawo opieki
i władzę otrzymał mąż jeden.

Wtem, po skończonym podziale
(jak stara głosi legenda)
czarny Izrael tam się przyszwenda:
rzeki nie było dlań wcale!

Lecz Pan Sprawiedliwy rzekł doń:
„Garść pyłu żółtego weź w dłoń,
na twardą ziemię go rzuć!
A Piąta olbrzymia struga
po całej ziemi — jak długa —
tajemnie będzie się snuć,
zaś tajemnicę jej wód
znać będziesz ty — i twój lud!"

Jako rzekł Pan, tak się stało:
głęboko, w żyłach ziemi,
zrodziła się Rzeka Piąta.
Wsparta źródłami mnogiemi
zasila targowe place,
orzeźwia królów pałace,
ziemię opływa całą
i bieg swój przedziwnie pląta
tajemna Struga Złota".

Izrael, tem ucieszony,
poniechał berła, korony,
i ponad brzegiem usiadłszy,
w zadumie w tę rzekę wciąż patrzy:
jak nurt jej błyska, migota,
jak w mnóstwo się odnóg oddziela,
to znów pod ziemię zapada —
z powodów, których nie zbada
nikt w świecie, prócz Izraela...

On rządzi, jak pan, wszechwładnie,
tą piątą, przedziwną Rzeką;
on słyszy huk jej i śpiew,
jej tętnem tętni mu krew...
On zgóry powie: „Rzeka opadnie!"
boć wie, jakie źródła i studnie
wyschły za szlakiem pustyni
o tysiąc mil na południe.
On zgóry powie: „Rzeka wyleje!"
boć wie, że jej wody przyczyni
śnieg, co na górach topnieje
gdzieś na północy daleko...
On zwęszy skwar i gorąco
i słotę nadciągającą —
i wie, jaki zysk w interesie
każda z tych zmian mu przyniesie.

Bez tronu — a przecie mocarz,
bez miecza — a władca przecie,
Izrael tuła się, tuła w świecie,
śledząc, gdzie struga ta płynie...
Wszędzie jest gościem, bez domu:
w wielu krainach jest panem... chociaż
królem nie będzie w żadnej krainie...

Zaś Piąta Rzeka nikomu
tajemnic swych nie udziela —
nikomu, prócz Izraela,
bo niebios przewidział to dekret,
że jemu jedynie jest dany ten sekret...

Przełożył
JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

Daremny żal. — Polska się jednoczy.

BEZRADNA żałość starego, zawiedzionego człowieka zadźwięczała w przemówieniu prezesa BBWR., płk. Sławka na ostatnim Zjeździe Legjonistów, kiedy z wyrzutem zwrócił się do przedstawicieli najmłodszego pokolenia obozu dziś rządzącego. Żałość tak rzeczywista, że niepodobna mówić o niej tonem ironicznym: musiałaby wywoływać szczere współczucie, gdyby nie okoliczność, że przyczyna, która to rozżalenie powoduje, jest jednocześnie szczęściem Polski.

Ubolewał płk. Sławek:

„Niekiedy wśród wielu młodych powtarzany jest frazes, że oni żyć pragną teraźniejszością i przyszłością, że minione spory grup i obozów dawnych obchodzić ich nie powinny. Wiemy, w czyim interesie leży przykrycie...“ i t. d.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, czem w istocie swej są piłsudczycy, ci prawdziwi, tworzący ośrodek ruchu, nie ci, którzy przymknęli do nich później dla zysku albo karjery, trzeba rozumieć ducha starej piłsudczyzny, żeby pojąć, jakie rozczarowanie dla niej stanowić musi szerzenie się takiego poglądu „wśród wielu młodych“, i to nawet we własnych jej, zorganizowanych szeregach...

„Sanacji“ nigdy nie łączył jakiś wspólny program polityczny, jakiś plan dziejowy na przyszłość, który chcianoby razem urzeczywistnić, tem mniej wspólny pogląd na świat, ideologja czy doktryna filozoficzno-społeczna. Jej kierowniczą grupę zespala natomiast mocna więź tych samych wspomnień i przeżyć, wspomnień dla niej drogich szczególnie, bo z lat młodych i najbardziej ofiarnych. W działaniach przeszłych, nie w dążeniu ku jednemu celowi jest zawarty sekret jej solidarności.

Siła więzi tej stała się tem tragiczniejsza, że działania owe podległy krytyce jako błędne politycznie i, przedmiotowo rzecz ujmując, nieuzasadnione. Łatwo uświadomić sobie bowiem, z jaką determinacją bezwzględną już od lat nie ustają piłsudczycy w ich obronie. O własną młodość walczą przecież, o sens najpiękniejszych lat życia, o upewnienie wszystkich wokół, a nawet i siebie samych, że nie na fałszywej—mimo wszystko—drodze byli w okresie najszlachetniejszych, najbardziej bezinteresownych swych poczynań. Stąd zaciekłość kłótliwa i upór, z jakim bez wypoczynku odnawiają stare spory „orjentacyjne“ z epoki Wielkiej Wojny czy dawniejsze, stąd i ciągła, niecierpliwa apoteoza czynów własnych, połączona z załatwianiem porachunków z dni minionych i próbami pognębienia i poniżenia ówczesnych oponentów.

Cały system „wychowania państwowego“ nie polega wszak na wpajaniu w młodzież jakichś określonych programów, wyobrażeń, idej, dotyczących Polski jutrzejszej. Jego wyłączną treścią jest za wszelką cenę narzucenie pewnych poglądów na historję ostatnich lat trzydziestu. Możnaby mniemać chwilami, że w całej działalności państwowej piłsudczyków, wśród zbywania z dnia na dzień spraw bieżących, jedyną pracą planową, jedyną troską jest zatwierdzenie w sposób oficjalny owych poglądów (obchody, pomniki, ordery, wydawnictwa, instytuty „badań“, polityka wychowawcza) i uniemożliwienie jakiejkolwiek ich rewizji w przyszłości.

Chwilami zdaje się, że cel jest już bliski osiągnięcia, starzy łudzą się, że ich „legjony młodych“ żyją tylko wspominkami „6 sierpnia“, urządzają „uroczyste akademje“, wypisują tyrady patetyczne w subsydjowanych czasopismach... A tymczasem sprytne chłopaki, umiejące praktycznie myśleć o rzeczy...

Stary sposób... W jednem z gimnazjów był niemłody już nauczyciel - polonista, wymagający i surowy. Przemyślne sztubaki bez trudności jednak wykombinowały, jak sobie dawać z nim radę. Zanim jeszcze poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu, marzyła mu się karjera literata-poety, pisywał wiersze, nawet czasem czytywał je głośno na słynnych wtedy „zebraniach czwartkowych“ u Deotymy. Wspomnienie tych romantycznych prób było jasnym promieniem, oświecającym staremu jednostajną szarzyznę jego belferki. To też kiedy klasa nie umiała lekcji, albo chciała uniknąć wypracowania piśmiennego, wstawał któryś z uczniaków i pytał przymilnie: „Panie profesorze, niech pan opowie nam, jak to Deotyma improwizowała na „czwartkach“... A jak wyglądał Adam Pług w nowym fraku?...“ Nauczyciel wpadał w ferwor, a co zuchwalsze „lizusy“ głośno wypowiadały swoje oburzenie na tych, którzy w swoim czasie nie potrafili docenić dostatecznie genjusza poetyckiego autorki „Branek w jassyrze“...

Dzisiejsza młodzież sanacyjna także umie się grzecznie „dostosować“, jednakowoż naprawdę, w głębi serca nie ziębią jej ani grzeją „minione spory grup i obozów dawnych“, uczuciowo nie podziela, nie odczuwa uprzedzeń i nienawiści, jakiemi karmi ją pokolenie poprzednie. Jeżeli ma walczyć już, chce walczyć o coś realnego, rozgląda się w poszukiwaniu programu, który jej samej uzasadniłby rację jej istnienia. Jest to objaw naturalny i konieczny: odnawiający swoje tkanki organizm narodowy zrasta się po chorobie, nie chce utrzymać na wieczne czasy rozdwojenia z okresu niewoli. Zresztą sam instynkt samozachowawczy wskazuje młodym sanatorom, że nie zdołają wyłączyć się z całości swojego pokolenia, że utrwalenie dzisiejszego rozdarcia społeczeństwa stanie się dla nich, na dłuższą metę, niemożliwością. Starzy piłsudczycy, we własnem przekonaniu przynajmniej, znajdowali oparcie w poglądzie, że—w latach młodych—oni, jedni, w „upodlonym“ narodzie ugodowców, „na stos rzucili życia los“, a wobec tego faktu im należy się przywilej władzy, oni mogą przeciwstawić się reszcie Polski, narzucać jej wolę własną, być elitą. W imię czego atoli mógłby w przyszłości domagać się podobnego stanowiska dla siebie dzisiejszy „Legjon Młodych“? W imię tego, że brał udział w uroczystościach imieninowych?

Jest niewątpliwie wiele melancholji w stwierdzeniu, że cały ogromny wysiłek, jaki podjęło pokolenie piłsudczyków, by swój sposób myślenia i odczuwania, swe sympatje i antypatje zaszczepić generacji następnej, kończy się, bo kończyć musi, bezwzględnem niepowodzeniem. W czasach zmienionych jednak, w normalnem życiu niepodległem, oczywistą niemożliwością jest utrwalanie i przekazywanie przez pokolenia nienormalnej psychiki z okresu niewoli. Polityczne koncepcje piłsudczyków, w imię których walczyli i działali, pośród młodzieży, nawet uzależnionej od „sanacji“, spotykają się z czemś gorszem, niż opozycja: poprostu nie budzą zainteresowania. Naród jednoczy się, naprzekór dawnym rozłamom, a nie wstrzymają procesu tego skargi p. Sławka, ani grzebanie się po archiwach p. Pobога-Malinowskiego, ani „wychowanie państwowe“ w zwiększonych dawkach. Tak wiele trudu zadano sobie—nadaremnie.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

OBECNIE WCHODZĄCE W ŻYCIE POKOLENIE, jest w myśleniu swem i działaniu bardziej polskie od szeregu pokoleń, które je poprzedziły. Pochodzi to stąd, że jest to pierwsze od dawna pokolenie, wychowane w niepodległem państwie polskiem, w dodatku w zupełnej izolacji od żydów. Ta oddawna w tak czystej postaci niewidziana polskość jest źródłem, że młode pokolenie, zwarte wewnętrznie a wychowane w ideologji Wielkiej Polski, otaczane było sympatją, czasem nawet podświadomą, przez całe uczciwe społeczeństwo polskie, nawet przez przeciwników politycznych. Instynkt polski pchał wszystkich uczciwych ludzi w kierunku tego, co w dzisiejszem życiu polskim jest najbardziej polskie.

A obok tego mimowoli od tego pokolenia właśnie powszechnie oczekuje się ratunku w dzisiejszych ciężkich i trudnych czasach. Bo należy pamiętać, że dzisiaj całe społeczeństwo polskie, bez różnicy poglądów politycznych, zdaje sobie dobrze sprawę z tego, jak ciężkie jest obecne położenie kraju. Tylko jedni mówią to otwarcie, inni z takich lub innych względów ubocznych osłaniają swój istotny pogląd frazesami sztucznego optymizmu.

Również całe społeczeństwo polskie wie dobrze, że nie sposób się spodziewać wytycznych, jaka ma być przyszłość Polski, od ludzi, którzy, wpatrzeni w drobny epizod z lat niedawnych, utracili związek z przeszłością naszą, traktowaną, jako całość, i nie umieją wyobrazić sobie nawet nadchodzącej szybkiemi krokami przyszłości. Odpowiedzi na dręczące wszystkich pytania, co będzie, oczekuje całe społeczeństwo polskie od tych, co najściślej z rdzeniem polskości są zrośnięci, co najkonsekwentniej oddzielili się od wpływu „tych obcych, którzy wśród nas są“...

WAŻNĄ CZĘŚĆ PROGRAMU, którego społeczeństwo polskie domaga się od pokolenia niepodległej Polski, jest program gospodarczo-społeczny. Znaczna bowiem część bolączek, które nas dzisiaj trapią, leżą w dziedzinie gospodarczej, w dodatku zaś te właśnie najjaskrawiej występują nazewnątrz.

Młode pokolenie coraz bardziej odwraca się od obecnego ustroju gospodarczego, źródła szeregu nieszczęść dzisiejszych. Nie znaczy to bynajmniej, by było ono zapatrzone w to, co się dzieje u naszego wschodniego sąsiada lub zachwycały je ostatnie eksperymenty amerykańskie. Młode pokolenie szuka własnych dróg, nie idąc niewolniczo nawet za pokrewnemi, pod niejednym względem, doświadczeniami włoskiemi lub niemieckiemi. Już dziś znając, jego tendencje i nastroje, można przewidzieć, że zechce ono oprzeć przyszłość gospodarczą Polski nie na państwie i jego przymusie, lecz— na ujętych w twarde karby instynktów społecznych— jednostkach. Nie cofnęłoby się ono zapewne, w okresach przejściowych, przed daleko nawet idącem wkroczaniem państwa w życie gospodarcze, dla uporządkowania dzisiejszych niezdrowych stosunków, w zwykłych jednak okolicznościach nie chciałoby zbytnio krępować jednostek, zabijać ich inicjatywy i samodzielności.

KONGRES HISTORYKÓW

ZA kilka dni (od 21 — 29 b. m.) rozpoczną się w Warszawie Obrady VII-go Kongresu Międzynarodowego nauk historycznych.

Stolica naszej Rzeczypospolitej niezbyt się nadaje do tego rodzaju zjazdów międzynarodowych, nie odznacza się bowiem wspaniałością pamiątek przeszłości i nie posiada głośnych w całym świecie instytucyj (muzeów, bibljotek i t. p.), na których skupiałaby się powszechna uwaga świata naukowego.

Pomimo to jednak, ten VII-y kongres międzynarodowy umiejętności historycznych, który się odbędzie w murach Warszawy, zapowiada się pod względem ilości uczestników (zgórą tysiąc), jakoteż ilości prac zgłoszonych (pół tysiąca) — nie gorzej od tych, które się odbywały w warunkach o wiele świetniejszych, jak np. w Rzymie (1903 r.) w Londynie (1913 r.) i t. p.

Pod względem jakości przedstawia się to również nieźle i na liście uczestników nie brak imion znanych, nietylko we własnym kraju; a i wśród zagadnień naukowych, jakiemi zjazd ma się zająć, sporo rzeczy pierwszorzędnego znaczenia.

Oczywiście wszelkiego „przyczynkarstwa“ będzie i tym razem, jak bywało zawsze, bardzo dużo, są to jednak rzeczy nieuniknione, trudno bowiem pozbawić masę ludzi, cieszących się myślą popisu na szerszej arenie, tej niewinnej przyjemności. Zresztą ma to i swoją dobrą stronę, gdyż ze względu na niezliczone rozgałęzienia wiedzy historycznej, niejeden z uczestników więcej się interesuje jakąś kwestją specjalną niż ogólną.

Wśród gości naszych najwięcej będziemy mieli Francuzów i Włochów, po nich idą Rumuni, Belgowie, Skandynawi, Węgrzy, Anglicy; najmniej licznie reprezentowani są najbliżsi sąsiedzi nasi: Niemcy, Rosjanie i Czesi. Co do tych ostatnich to minimalny ich współudział w kongresie warszawskim jest faktem godnym zastanowienia, tem bardziej iż Czesi umieli zawsze korzystać ze sposobności liczniejszego pokazania się na szerszej widowni.

O tem, że nasi historycy będą stanowili najliczniejszą grupę — niepotrzeba mówić.

Na pochwałę naszego komitetu wykonawczego należy tu stwierdzić, że działał sprawnie przez dłuższy czas (niemała w tem zasługa sekretarza komitetu Dr. Tadeusza Manteuffla) i zrobił wszystko, co było w jego mocy, by uczestnikom kongresu ułatwić ich zadanie, nie mówiąc już o tem, że pomyślał o ich wygodzie oraz o ich przyjemności.

Tak więc — skupił posiedzenia ogólne i sekcyjne (a jest tych sekcyj aż XV) w jednym gmachu, mianowicie w politechnice; następnie streszczenia referatów (t. zw. komunikatów) wydrukował w języku francuskim w pięknej książce, przyczem w oddzielnym tomie wydał prace wyłącznie polskie, co każdemu z cudzoziemców nietylko ułatwi orjentowanie się w naszym gąszczu historycznym, lecz niejednego zbliży doń może poraz pierwszy etc, etc...

Nie zaniedbał również ułatwić obcym uczestnikom kongresu poznanie naszego kraju, i w tym

celu zorganizował szereg mniejszych i większych wycieczek do rozmaitych jego miejscowości. Miejmy więc nadzieję, że wszystko to, poza sprawami czysto naukowemi, nie minie bez korzyści wogóle dla naszych stosunków z zagranicą.

Kongres rozpocznie się 21 b. m. o 11 godz. przed poł. w wielkiej sali Instytutu politechnicznego.

W.

NAUKA I LITERATURA

ŻYDZI W WARSZAWIE

DOKTÓR Emanuel Ringelblum z pewnego rodzaju sentymentem czy zgoła patrjotyzmem rasowym zabrał się do opracowania dziejów żydów w Warszawie [1]), wysuwając jako jeden z motywów konieczności powyższej publikacji fakt, iż Syreni gród posiada największą kolonję żydowską w Europie. Nie jest coprawda tym argumentem czytelnik przekonany, zwłaszcza po przeczytaniu książki. Miejscami ma się wrażenie, że chodziło wprost tylko o to, by nadać książce pewną, zgóry określoną objętość. W tym celu zgarniało się materjał, skąd się dało, bez selekcji, a często bez względu nawet na to, czy dotyczył zakreślonego zgóry tematu. Tak np. po co została umieszczona wiadomość o hebrajskich rękopisach w Archiwum Głównem, o ile one nie stoją w żadnym związku z dziejami Warszawy i jej mieszkańców? Sam fakt ich istnienia nie jest tu motywem wystarczającym. Więcej słuszności ma autor pracy, omawiając stosunki prawne żydów na Mazowszu. Jest to wszakże temat szerszy — ważny dla historji ustroju Polski, lecz nie mieszczący się w ramach, zakreślonych tytułem pracy. Wybór dokumentów na końcu pracy nie przedstawia jednolitej wartości. Obok ważnych, niektóre są bez wartości, zwłaszcza że znamy je już z pracy— gdzie zostały podane w streszczeniu — przedrukowanie więc pełnem brzmieniem staje się co najmniej zbędne. We wstępie autor stwierdza absolutny brak źródeł żydowskich — obok zaraz na tejże stronie cytuje kilka prac drukowanych, różnej coprawda wartości, ale bądź co bądź istniejących. Te kilka luk dają do myślenia, iż autor nie przemyślał należycie niektórych ustępów swej pracy, dał ją w niekoniecznie skończonej szacie literackiej i nie opracował według zasad, jakie ustaliła metoda badań historycznych.

Cały szereg szczegółów, sądzę, mógłby być bez straty dla pracy opuszczony. Bo i co to nas może rozczulać, że Mojżesz celnik „nosił stary kożuch, przepasany pasem“, a panna Szprynca posiadała pierzynę obleczoną w barchan? Również nie wiele wpłynął na dzieje Warszawy Danjel z Nadarzyna (str. 100).

Dość ciekawy jest wniosek, że żydzi pojawiają się tam, gdzie sytuacja jest pewniejsza, a cywilizacja wyższa. Nie zrozumiałem, wyznaję, czy to obecność żydów wpływać ma na podniesienie kultury? Raczej jest w tem ukryte twierdzenie, iż lud Izraela zwykł opuszczać zagrożone placówki, jak szczury tonący okręt, by zająć gdzieindziej dogodniejsze stanowiska. Jest to więc tylko poszukiwanie łatwiejszego żeru, a nie stanowi dowodu miłości cywilizacji. Jeśliby zaś tak być miało, to należałoby podziękować autorowi za komplement — Warszawa okazałaby się najkulturalniejszem miastem świata!

Żydzi pojawiają się tam, gdzie warunki handlu i łatwego zarobku są lepsze. Zwracałem i ja uwagę na ziemię Zakroczymską, na której księgi powołuje się pan Ringelblum. Obliczając procentowo ludność żydowską Zakroczymia w stosunku do reszty mieszkańców, otrzymujemy w liczbach okrągłych: w 1865 r. — 70,1 %, a w 1921 r. już tylko 38,1 %; z odpowiedniemi cyframy pośredniemi. Odpowiada to odpływowi elementu żydowskiego bezmała o 1/2 % rocznie na korzyść w pierwszej linji Warszawy, a kurczeniu się handlu ośrodków podstołecznych. Nie stoi to w żadnym związku z cywilizacją czy uciskiem narodowościowym.

Na czoło zagadnień, związanych z życiem żydów warszawskich, wysuwają się zagadnienia ekonomiczne — przeważnie sprawy pożyczek, lichwy, zastawu, przeróżne sprawy handlowe i procesy z żydami Brześcia, Gdańska, Lwowa i Krakowa. Przesuwa się, jak w kalejdoskopie, szereg drobnych spraw, składających się razem na pewien całokształt naszej opinji o żydach ówczesnych. Zwłaszcza nabierają zagadnienia te znaczenia w porównaniu z objętością rozdziałów, obejmujących inne fachy, uprawiane przez żydów. I tak gdy sprawy operacyj finansowych obejmują większą część książki, rolnictwo — mieści się dosłownie na jednej stronie, lekarze żydowscy — na niespełna stronach dwu, inne zawody razem wzięte — również dwie. I to jeszcze dowiadujemy się, że lekarze ci dorabiali lichwą. Wszystko to, razem wzięte, zarysowuje nam wyraźnie sylwetkę ówczesnego Izraelity, nie różniącego się niczem od swego współczesnego pobratymca. Przestrzeń czterech wieków zdaje się nie grać żadnej roli. Charakter narodowy pozostał taki sam. Posiadanie dużej nawet ilości kupców i zdolnych lekarzy nie stanowi jeszcze właściwej historji. O życiu umysłowym i kulturalnem nic się właściwie nie dowiadujemy. Nie odzwierciadla i odzwierciadlić tego nie może żaden starannie zestawiony spis sądowy ruchomości, stanowiących własność żyda z XV wieku.

Nieścisłem jest twierdzenie o systematycznem „wygryzaniu“ przez mieszczan Warszawy obcych przybyszów bez względu na ich pochodzenie. Nie zapominajmy, że olbrzymia część ówczesnego mieszczaństwa polskiego jest pochodzenia obcego, polonizujących się stopniowo. Wszak nawet najwięksi potentaci Starej Warszawy, Fukiery i Baryczkowie w żyłach swych mają sporo obcej krwi. Pewną niechęć na tle konkurencji zacieśnić należy do żydów, — niechęć spowodowaną w pierwszej linji własnemi cechami charakteru i etyki narodu żydowskiego. W związku z tem dwuznaczna często rola książąt Mazowieckich, a już zupełnie niedwuznaczne stanowisko św. Jana Kapistrana i Bernardynów warszawskich w sprawie ucisku i pogromów — nawet żydów dziwić i gorszyć nie powinno. Tembardziej, iż i autor przyznaje, że żydzi bywali też stroną zaczepną w szeregu zajść (s. 133). Jeśli zaś porównamy sytuację na Mazowszu z tem, co żydzi przeżyli w szeregu krajów europejskich, to porównanie takie wyjdzie tylko na korzyść ich sytuacji w Polsce. Podziwiać należy uporczywość, z jaką żydzi trzymają się raz zajętej placówki, nawet w wypadku zmieniającej się konjunktury. Jakaś dziwna chęć powrotu za wszelką cenę tam, gdzie ich nie chcą. Faktorstwo przy handlu drzewem, zbożem i bydłem autor nazywa „działalnością gospodarczą“. Wszak sam autor stwierdza, że Warszawa nie miała przedstawicieli finansjery w wielkim stylu, a więc nie może być też mowy o jakiejś prawdziwie szerzej pojętej działalności w tym zakresie. Tembardziej jak można mówić o interesach żydowskich nawet wtedy, gdy jest głucho o żydach i niema śladu w źródłach archiwalnych o żadnych czynnościach dokonanych przez nich.

Ze strony autora m. in. nazwany został „formalizmem sądowym“ fakt, iż niejaka Szprynca została ukarana grzywną 10 groszy za to, iż w sali sądowej siadła na piecu. Moglibyśmy podyskutować, czy do dobrego tonu należy w sali sądowej drapać się na piec...

Na str. 129 autor przyznaje, że język żydów wzbogaca się wyrażeniami polskiemi. Nie sądzę, by chodziło o hebrajski, a żargon — czy może być wogóle określony jako „język“? Najciekawszym ustępem książki są dane dotyczące ulicy Żydowskiej. Również ciekawą jest wiadomość o istnieniu teatru

[1]) Dr. Emanuel Ringelblum — „Żydzi w Warszawie. I. Od czasów najdawniejszych do ostatniego wygnania w roku 1527“. Tom 1, str. 152 + VIII. Bibljoteka Historyczna im Tadeusza Korzona. Wyd. Towarzystwa Miłośników Historji z zasiłku Magistratu m. st. Warszawy.

żydowskiego ludowego w Warszawie gdzieś w XV czy początku XVI wieku.

Po aktach, usuwających żydów z Warszawy, zdawaćby się powinno, że sprawa została rozstrzygnięta definitywnie, jeśli nie na zawsze, to na długo. Tymczasem żydzi stwarzają właśnie w Warszawie bardzo liczną kolonję, właśnie tam, gdzie wypominają nam pogromy i akty z 1483 i 1527 roku. Zaiste źle to świadczy o władzy wykonawczej dawnej Rzplitej Polskiej. Ciekawe byłoby wyjaśnienie, jakiemi drogami żydzi potrafili obejść wszelkie zakazy i postawić na swojem—zostać w Warszawie. Na zagadnienie to zapewne odpowie tom II pracy, który objąć ma lata 1527 — 1795. Budzi się tu jeszcze jedno pytanie: jaki był, o ile był wogóle, stosunek aktu *„de non tolerandis Judaeis“* do współczesnej mu krakowskiej ordynacji wojewódzkiej, regulującej w ówczesnej stolicy Polski stosunki żydowskie? Reasumując, książka byłaby w zupełności na miejscu, gdyby objętość jej zmniejszona została przynajmniej o $^2/_3$ i gdyby wydał ją kto inny. Na takie elaboraty m. st. Warszawa ani też Tow. Miłośników Historji pieniędzy łożyć nie powinny.

J. ROXTON

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bardzo pożytecznem zjawiskiem są wszelkiego rodzaju monografje opisowe, dotyczące poszczególnych dziedzin naszego życia gospodarczego. Dlatego z zadowoleniem należy przyjąć ukazanie się książki Michała Doskocza p. t. „Zagadnienie handlu mięsnego w Polsce“ (Warszawa. Nakładem „Polski Gospodarczej“ 1932 r. str. 169). Autor zmuszony był poruszyć zagadnienie udziału żydów w handlu mięsem oraz uboju rytualnego. W dobie dzisiejszej urzędnikowi państwowemu, zwłaszcza w wydawnictwie pół-urzędowem, bardzo nie wiele wolno na ten temat powiedzieć. Tem więc charakterystyczniejsze są takie ostrożne stwierdzenia: „Handel bydłem utrzymują wyłącznie żydzi“; „Życie dowodzi, że konkurencja kupców chrześcijan w Warszawie jest b. słaba, więc siłą rzeczy stanowisko kupców żydowskich w zakresie handlu bydłem jest prawie monopolistyczne, co wszyscy obserwujący ten handel stwierdzają; ubój zaś rytualny niewątpliwie sprzyja koncentracji tego handlu w nielicznych rękach monopolistów oraz utrzymaniu się cichej zmowy i płynących z niej ujemnych skutków“; „Faktem jest jednak i pozostanie, że opłaty na rzecz gminy żydowskiej wnosi ludność chrześcijańska, spożywająca mięso wołowe, cielęce i baranie“; „Naszem jednak zdaniem, ubój zwierząt w 100% sposobem rytualnym w danym ośrodku wielkiej konsumcji niewątpliwie pociąga za sobą ujemne dalsze konsekwencje dla stosunków w handlu inwentarzem rzeźnym i mięsnym“. Urzędowe stanowisko autora każe mu jednak dodać, że „o zupełnem zabronieniu uboju tym systemem nie może być mowy ze względu na swobody i tolerancję religijną, zastrzeżoną wszystkim obywatelom“. (J. P.)

*

Krewna Karola Chłapowskiego, pod pseudonimem Dżenany, wydała w Poznaniu, nakładem własnym, „Wspomnienia o Helenie Modrzejewskiej“. Okładkę zdobi portret tej największej artystki dramatycznej Polski i świata. Jako przedmowa książki, zamieszczony został urywek ze sprawozdania teatralnego, pióra poety Konstantego Górskiego. Dalej wspomnienia zdarzeń scenicznej karjery, listy, sprawozdania krytyków w Europie i Ameryce i cytaty z pamiętnika Modrzejewskiej. Karta za kartą ukazuje i oświetla królewską postać kobiety o greckim profilu, genjalnej tragiczki, szlachetnej Polki. Aktorska twórczość Modrzejewskiej w Warszawie nie tylko obdarzała widzów wrażeniem najwyższej wzniosłości, ale wywierała wielce dodatni wpływ na układ i poziom repertuaru. Wprowadziła na scenę dzieła poetów. Zmagała się, przy wprowadzeniu na scenę „Mazepy“ z trudnościami cenzury, w czem serdeczną pomocą była jej pani Calergis, uczennica Szopena, przyjaciółka Liszta i Wagnera, żona prezesa teatrów, Muchanowa. Modrzejewska, 2-do voto Chłapowska, pod kierunkiem męża Karola Chłapowskiego, subtelnego znawcy sztuki, nie przestawała kształcić się literacko i doskonalić swego artyzmu. Salon Chłapowskich gościł najwybitniejszych ludzi owego czasu: staruszka Odyńca, Moniuszkę, Kostrzewskiego, Żółkowskiego, malarza Chmielewskiego późniejszego Brata Alberta, Gersona, Gierymskiego, Wł. Żeleńskiego, Witkiewicza, Chełmońskiego, A. Swiętochowskiego, Paderewskiego; tworzył atmosferę intelektualną i był placówką życia narodowego. Siedem lat pobytu Modrzejewskiej w Warszawie zapisało się w dziejach teatru „triumfem poezji“ Niektóre z ról, jak naprzykład „Antygonę“ Sofoklesa w przekładzie K. Morawskiego, opracowywała w domach krewnych męża na wsi w Wielkopolsce i codzienna z nią styczność umożliwiała poznanie jej natury promiennej. „Korzystając z uwielbienia i entuzjazmu“, — pisze autorka „Wspomnień“— które rosły jak kwiaty wszędy, gdzie przeszła, jak dobra wróżka dodawała otuchy do pracy, szczególniej do kształcenia się w ojczystym języku“. Talent jej i sławę cechowała dziwna prostota, — „ta najpiękniejsza z kobiet wiedziona nieomylnym instynktem, ubierała się raczej u skromniejszych szwaczek, od razu przysparzając im tem samem wyborowej klijenteli. To też lubianą i ubóstwianą była między modniarkami, które kształciła w dziedzinie estetycznej mody“. Do Ameryki wyjechali Chłapowscy w towarzystwie Sienkiewicza i kilku przyjaciół nie z zamiarem jej występów w tamtejszych teatrach, ale ze względów finansowych musiała pani Helena wrócić na scenę, opanować język angielski i pracować w obcem środowisku. Tam, tak samo jak w Polsce, zjednywa jej wyobraźnia, liryzm i wzniosłość umysłu, obok zachwytu tłumów, hołdy najświetniejszych pisarzów i artystów, malarzów i muzyków. Sławny wówczas Oskar Wilde napisał dla niej sztukę. Autor i reżyser, irlandczyk, Don Boucicault przystosowywał grę aktorów do gry „polskiej gwiazdy“. Narodowość swą manifestowała. W San Francisco pierwszą próbę ze sztuki „Adrjanna“ mówiła po polsku. W salonach zagranicznych deklamowała po polsku. I wszędzie, gdzie była, czy w swej fermie wśród palm i drzew pomarańczowych, czy w zgiełku miast amerykańskich tęskniła za Polską, jak pisała w listach, „oazą idealizmu wśród zmaterjalizowanego świata“. W myśl tych uczuć w Ameryce na wiecu wypowiedziała mowę przeciw carskiemu rządowi, co po przyjeździe do Warszawy pozbawiło ją możności występowania. Przyjeżdżała do kraju co kilka lat, opromieniona sławą wszechświatową, a każdy swój pobyt upamiętniła jakimś uczynkiem dobroczynnym: występami na dochód aktorów w Krakowie, w Zakopanem na dochód szkoły koronkarskiej dla góralek, która do dziś istnieje i rozwija się pomyślnie, na inne cele kulturalne i narodowe w Krynicy, w towarzystwie braci Reszków, we Lwowie na dochód Towarzystwa Szkoły Ludowej, występ w tragedji „Protesilas i Laodamia“ Wyspiańskiego. Występ w Polsce, przed śmiercią, ostatni.

O kreacjach scenicznych Modrzejewskiej pisano tomy hymnów. Autorka „Wspomnień“, opracowując jej portret historyczno-psychologiczny, umiejętnie i ciekawie przytacza wyjątki z pism autorów obcych, a z polskiej literatury krytycznej głosy St. hr. Tarnowskiego, W. Górskiego, L. Rydla, Zapolskiej, J. Kotarbińskiego. „Kotarbiński“, — mówi, — „skrystalizował jej czar nieprzebrany w słowach, — piękno złączone z dostojnością ducha“. Książkę zamyka wiersz Adama Asnyka „Do Heleny Modrzejewskiej“. Jest echem powszechnego dla niej uwielbienia i sympatji. Uczucia te przetrwały. Może najsilniej w pamięci artystek, pani Siemaszkowej, Solskiej, Przybyłko i Dulęby, których talentami Modrzejewska w czasie pobytu w Krakowie serdecznie się interesowała i dla których była wzorem pracy i doskonałości w sztuce. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W okresie zwycięskiej fali protekcjonizmu ukazała się w Anglji, ojczyźnie wolnego handlu, książka, opracowana przez szereg wybitnych ekonomistów angielskich z Williamem Beveridge'm na czele, którą można nazwać testamentem wolnego handlu. Jest to książka interesująca nie dlatego, by zawierała wskazówki, wytyczające kierunek dla współczesnej polityki gospodarczej, ale dlatego, że zawiera jasno wyłożone zasady, wywierające w ciągu ostatniego wieku bardzo silny wpływ na rozwój gospodarczy świata, a których zestawienie z poglądami, decydującemi o bieżącej polityce, może dać niejedną pożyteczną naukę. (J. P.)

*

Ukazała się książka p. t. *„L'arbitrage dans le droit anglais et français comparées“*. (Paris. Rousseau & Cie Editeurs, 1932, p. 301), omawiająca na tle porównawczem problem sądów polubownych. (J. P.)

*

Zarządzenia, mające na celu utrudnienie przywozu, spotykają się z dużem zainteresowaniem zwłaszcza w tych krajach, które, jak Niemcy, ciągną korzyści z intensywnego handlu zagranicznego. To też trudno się dziwić, że ukazała się w Niemczech specjalna broszura, napisana przez dra Jo-

sefa Wildena p. t. *„Störungen des Welthandels. Wege und Methoden des Protektionismus“* (Carl Heymanns Verlag. Berlin, 1932, s. 32) poświęcona omówieniu zarządzeń, wprowadzonych w życie w różnych państwach, a mających na celu utrudnienie przywozu, specjalnie zaś omawiane są w niej zarządzenia, skierowane przeciwko przywozowi z Niemiec. (J. P).

TEATR

„CHCĘ WŁAŚNIE CIEBIE“ W T. LETNIM

NIE bez słuszności i dowcipu rozczarowywano nas do postaci Don Juana (raczej donżuana) w lekkiej komedji o odcieniu farsowym Braddella — „Chcę właśnie Ciebie“, wystawionej w Teatrze Letnim. Komedja romantyczna ukazywała nam dotychczas Don Juana, jako niebezpiecznego uwodziciela, groźnego pożeracza serc niewieścich, postać o stu urokach, magnetyzującą swym czarem „liczne ofiary“. Obecnie przyszedł czas na „odbronzowienie“ Don Juana. Jeżeli już ktoś w komedji angielskiej i amerykańskiej ma być „ubronzowiony“ — to jest nim współczesna panna, kobieta *„moderne“*, której odwagę, przedsiębiorczość, prostotę, rozum i wysportowane ciało chwali stu anglosaskich autorów na dwu kontynentach. A wobec tego, rzecz prosta, Don Juan musi uskarżać się na kiepskie czasy. Dziś jest już tylko donżuanem, i to w dodatku z łaski i woli kobiety. Takiego donżuana mimowoli, otumanionego i uwodzonego przez kobiety, pokazano nam w komedji Braddella. Dzisiejszy donżuan nie zdobywa, jest zdobywany. Jest igraszką w ręku pięknej kobiety, która, i ona jedynie, może tylko święcić takie triumfy.

O braddellowskiego donżuana walczy aż kilka kobiet. Zdobędzie go dla siebie kobieta najbardziej stanowcza, umiejąca rozkazywać i zmuszać do wykonywania wydanych przez nią rozkazów. I później — o ironjo — świat dowie się jeszcze o jednem zwycięstwie donżuana dziś już ponoć z prawdziwego zdarzenia.

W komedji Braddella — już nie trójkąty, lecz cała geometrja planimetryczna znalazła zastosowanie. Nie ma tu tylko kwadratury koła, jako w komedji, przedstawiającej ludzi nowoczesnych, umiejących znaleźć rozwiązanie każdej sytuacji i każdego konfliktu uczuciowego, posiłkujących się nader często popularnem słowem „kompromis“.

W sumie — wieczór spędzony dość wesoło. Komedja jest dowcipna i bezpretensjonalna. Przekład p. Olechowskiego nie należy do najlepszych.

Donżuanem mimowoli był na scenie Teatru Letniego świetny i sympatyczny aktor — p. Antoni Różycki. Jemu też zawdzięczamy beztroskę całego wieczoru. Śliczną uwodzicielką była p. Lubieńska, na dobrego komika (w stylu Czaplińskiej) wyrabia się p. Jankowska. Stara gwardja: pp. Orwid i Biegański — bez zarzutu. W pozostałych rolach pp.. Marcinowska, Dominiak, Dardziński i Kalinowski.

T. B. S.

„ŻYDA NA STOS“ W T. KAMERALNYM.

NIE pomijają żydzi żadnej okazji, aby w odwet za prześladowania w Niemczech zwalczać znienawidzony przez nich *regime* hitlerowski. To im, oczywiście, wolno. Skłonni do przesady, znieważają przecież żydzi uczucia europejczyków, a tego im już, oczywiście, czynić nie wolno.

Do kategorji prowokacyj żydowskich należy zaliczyć fakt wystawienia w Teatrze Kameralnym p. Adwentowicza „sztuki“ Andrzeja Marka „Żyda na stos“, przerobionej z powieści Münzera „Żyda na krzyż“. Ukrytym celem żydowskiego autora było zapewne wywołanie tą sztuką szumu i hałasu; żydowski autor dołożył wszelkich starań, aby między pierwszym rzędem krzeseł na widowni i sceną pojawiło się widmo gorszącego, sensacyjnego skandalu, któryby zapewnił widowisku rozgłos, reklamę i powodzenie. Tezy sztuki błąkają się bowiem na granicy bluźnierstwa i prowokacji z jednej — i na granicy koszmarnej jakiejś groteski z drugiej strony. I jeżeli żydowski autor — mimo najlepszych zapewne chęci — celu swego nie dopiął — to stało się to jedynie z dwóch powodów: nieobecności publiczności chrześcijańskiej w teatrze i niesłychanemu już wprost prostactwu, cechującemu tę „sztukę“.

Przedstawieni są w tej sztuce chrześcijanie, jako horda Hunnów. barbarzyńców (nazywani są też stale „motłochem“), żydzi zaś — jako jedyni przedstawiciele i obrońcy kultury. Chrześcijanie są źli, rozpustni, zdeprawowani, podli i prostaccy, żydzi natomiast za złe odpłacają im dobrem, nie pamiętają krzywd (tego ich uczy Talmud — mówi autor), są elitą (chwilowo uciśnioną), strzegącą światła wiedzy, prawdy i miłości.

Tak się przedstawia jedna strona medalu. Druga — ma rysunek znacznie wyraźniejszy. Żydzi przestrzegają, żydzi grożą. Miara nieprawości chrześcijan może się przebrać i wówczas w gniewie powstanie Izrael do walki, karząc tych, którym dziś jeszcze gotów jest przebaczyć. Żyd wznosi pięść. I wówczas publiczność żydowska, przepełniająca teatr, powstaje ze swych miejsc i manifestuje długo i głośno swój zapał do walki.

Tymczasem na scenie akcja toczy się dalej. Członkowie oddziałów szturmowych biją żydów pałami, strzelają, niszczą książki, demolują mieszkania z okrzykami: „to za Chrystusa“ lub „w imię Chrystusa“ i publiczność żydowska śmieje się ironicznie, rzucając półgłosem jakieś wyrazy, które już jutro może brzmieć będą głośno i wyraźnie w całej nagości swego zuchwalstwa, nieokiełznanego niczem.

Ten paszkwil polityczny, pozbawiony jakichkolwiek wartości literackich i artystycznych, wymierzony jest pośrednio wogóle przeciwko wszystkim chrześcijanom i podszyty grubą nicią fałszu. W nierozumnej wściekłości zatracili żydzi poczucie umiaru i proporcji. Sądząc, że będą w Polsce mile widziani, lżą i szkalują Niemców, ich kulturę polityczną, obyczajową i moralną, do której przez tyle lat głosili swe przywiązanie i miłość.

Gry aktorów omawiać nie warto. Zbyt przykre zresztą budziłoby wrażenie wymienienie ich nazwisk polskich, zabłąkanych do teatru nawskroś żydowskiego i służącego celom żydostwa.

Takie oblicze moralne, artystyczne i ideowe ujawnił Teatr Kameralny p. Adwentowicza na progu nowego sezonu teatralnego. Może pamiętać będzie o tem polska publiczność teatralna.

T. B. S.

NOWE KSIĄŻKI

Emerson Ralf Waldo. Szkice. Przełożył i skomentował Andrzej Tretiak. Przedmowę napisał Artur Górski. Warszawa 1933. Instytut literacki. Str. 381.

Reutt-Witkowska Zofja. Zamek Swarożyca. Saga pomorska. Warszawa. 1933. Instytut literacki.

Bieniasz Józef. Maturanci. Powieść z życia studentów. Kraków. Księgarnia T. S. L.

Zaranie Śląskie. R. IX. zesz. 2. (Cieszyn).

Ruch literacki, maj—czerwiec, Nr. 5—6.

Konopczyński Władysław. Józef Szujski. Warsz. 1933. Odbitka z „Myśli Narodowej“.

Sakłak Stanisław. Zielony świat. Poezje. Warszawa 1933.

Bielski Włodzimierz. Oto Prusy. Karty z księgi niedoli ludności polskiej w Prusach Wschodnich. Poznań 1933. Związek Obrony Kresów Zachodnich. S. 127.

W ROZMÓWNICY

W związku z artykułem pt. „Forpoczty masonerji w Polsce“ otrzymaliśmy od p. Jerzego Brauna, redaktora czasopisma „Zet“ list obszerny, w którym, między innemi, zapewnia: „z teozofją i masonerją ani ja, ani wydawane przezemnie pismo „Zet“ nie ma i nie miało nic wspólnego“;... „kpię sobie z wszelkich wtajemniczeń, a nie ulegam nikomu i niczemu, prócz mojej własnej woli i zasad czystego rozumu“;... „jestem od szeregu lat badaczem i gorącym zwolennikiem doktryny Wrońskiego, zaś mistycyzm określam za Wrońskim — jako „paraliż rozumu““;... „doktryna Wrońskiego jest absolutnie przeciwną wszelkim tajnym stowarzyszeniom i ich wpływom, zaś z grupką nieuków i pomyleńców, zwących się „hoewronistami“, poważni badacze tej doktryny nie mają nic wspólnego“; ...„Boy'a zwalczam ja sam, wychodząc z założeń moralności chrześcijańskiej i zasad filozofji praktycznej Wrońskiego“; ...„żadne sfery czy to sanacyjne, czy opozycyjne nie mają kontaktu z „Zetem““.

List swój kończy p. Jerzy Braun stwierdzeniem, że „działanie „Zetu“ ma za cel pogłębienie kultury filozoficznej i etycznej w Polsce, rozbudzenie żywego ruchu umysłowego i wskazanie ciemnym głowom dzisiejszego społeczeństwa polskiego, że w niedocenianej przezeń własnej filozofji narodowej tkwią potężne światła, zdolne rozproszyć mroki, w jakich pogrążona jest umysłowość całej współczesnej Europy“.

OFENSYWA

PROPAGANDA FREUDA

PISZE Papini w „Gogu":

„Dzisiejsza Europa intelektualna jest w znacznej części pod wpływem, albo, jeśli pan woli, pod urokiem wielkich żydów wyżej wspomnianych (Lombroso, Bergson, Freud etc) Urodzeni pośród różnych narodowości oddani rozmaitym poszukiwaniom, wszyscy owi Niemcy i Francuzi. Włosi i Polacy, poeci i matematycy, antropolodzy i filozofowie mają wspólną cechę, wspólny cel, a mianowicie: podawać w wątpliwości prawdy uznane, poniżyć to, co wznosi się wysoko, zbrukać to, co wydaje się czystem, zachwiać tem, co stoi mocno, ukamienować to, co doznaje szacunku. Tego rodzaju pędzenie (*propinazione*) odwieczne rozkładu jest zemstą żydowską względem świata greckiego, łacińskiego i chrześcijańskiego". I jako jednego z takich propinatorów trucizn piętnuje znakomity bojownik, wódz, mistrz, ogień (*fuoco*) i tego chytrego augura-szarlatana wiedeńskiego, początkowo lekarza bez pacjentów, poczem „badacza" genitaljów (*genitalia non sunt turpia*), „myśliciela seksualnego", odkrywcę specyfiku „kompleksów", wenerologa Freuda. Rozprawia się z nim krótko, bo na krótką odprawę tylko stary magik zasłużył. W świecie naukowym autorytet Freuda nie istnieje. Jedynie tylko również żyd, ale serjo psycholog Claparède dał się olśnić, czy oślinić spekulacjom wiedeńskiej znakomitości, której kandydaturę na docenta, czy profesora nadzwyczajnego uniwersytet wiedeński (żydami zresztą natłoczony) dwukrotnie odsunął. Zrażony do uczonych solidnych, odbił to sobie Freud i odegrał się na literatach i prasie. Im więcej świat fachowych, uczonych, zaczął traktować go ozięble i sztywnie, tem namiętniej aranżował sobie reklamę wśród literatów i w bulwarowej prasie. Literaty drugiej i trzeciej sorty to dla takiej akcji materjał wymarzony, bo niedowarzony, niedokształcony, łapczywy na nowe błyszczące terminy i trucizny, a wreszcie trywialnie snobistyczny. Wszelakie półtalenty, ćwierćtalenty, czerń kawiarniana, statysty z Pen-Clubów, donny i damulki piszące, „essayisty" i dozgonne dyletanty, te wszystkie lecieć będą z piętra i na złamanie karku, zachłystując się papuzio wyuczonemi, papierowemi *confetti* i *coriandoli* z takich modnych, warenhauzowych ewangelij. Dość powiedzieć, że na Freudowskiego mentalnego *ping-ponga* nie dał się wziąć taki nawet G. B. Shaw, dziś już żałośnie zramolizowany gaduła, bełkocący swoje monotonne para-noja-doksy przed każdą bandą reporterczuchów, która mu tylko przy wsiadaniu czy wysiadaniu zastąpi gdziekolwiek drogę. Wiedeński myśliciel (*contradictio in adiecto*) wyrósł i rozbłysnął konjunkturalnie tylko na kulcie i reklamie kilku beletrystycznych efermeryd i komet, które już poprzepadały, nie istnieją, oraz na normalnej jerychońskiej reklamie dziesięciotysięcznego trustu prasowych „srajb-jingełów" z całego globu. Poszedł telefon po świecie, żeby każdy Kahan czy Cohen o każdej nowej „pracy" genjalnego „reformatora" (*sic*) i odkrywcy (*sic*) napisał minimalnie 56 do 165 wierszy. I już siedli przy biurkach Wasercug i Wasserberger, a koleżanka Wasserman (Melanie) już tłumaczyła ostatnie studjum o Freudzie pióra samego Stefana Zweiga (Przeworski z Świętokrzyski-gass wydał). Miał dzięki temu Freud swoje dziesięciolecie, w którem był w modzie, w cytatach i dyskusjach. Spełnił tę samą misję, którą przed nim Weininger, jeszcze przed tem Przybyszewski, w Berlinie dr. Magnumis Hirschfeld. Dyskredytował „Psychę", egzaltował Erosa. Wszystko zależy od instynktów: popęd płciowy i popęd do walki, do burzenia, do niszczenia *(Höre Israel)*. Kazirodztwo jest tak samo normalnym popędem, jak nie kazirodztwo. Podświadomie każdy może być gwałcicielem nieletnich. Asceza, to zaprzeczenie płciowych popędów, to obłęd. Wykroczeń i zbrodni seksualnych niema. Prorok czy Święty podświadomie bywa sadystą lub flagellantem...

Tak czy podobnie wyglądają w najdalszej konsekwencji, a więc może we wklęsłem zwierciadle rezultaty Freudyzmu. Nie dziw więc, że w nowej literaturze byłoby już passeizmem powoływanie się na... „kompleksy". Ostatecznie nawet Weininger („Płeć i charakter") dawał trwalsze emocje i ekscytacje myślowe i nie ograniczał się tylko na wywyższaniu chuci i ruji. Firma jednakże została i przetrwała i jako taka może być nadal eksploatowaną dla wiadomych, tajnych finalnych celów. Wiedząc więc dobrze, co znaczy firma raz wprowadzona na rynek opinji publicznej, zakulisowi reżyserzy w Genewskiej Lidze Narodów (Instytut Międzynarodowy Współpracy Intelektualnej), aby jakiemś działaniem usprawiedliwić swe wysokie apanaże, zwrócili się do dwóch „wszechświatowych" znakomitości, aby one w jakiejś niby to korespondencji wypowiedziały się w sprawie... Pokoju i Wojny. Wybór padł na matematyka i astronoma oraz na erotologa i psychozofa, oczywiście z wybranego narodu, jako-że ten wziął w pacht pacyfizm (obok maklerstwa i agentur fabryk amunicyjnych). Panowie Einstein i Freud mieli jako jedynie kompetentni, odpowiedzieć ludzkości, czy wojny są *malum necessarium*, czy instynkty i skłonności wojownicze ostaną się w przyszłości, czy ten irracjonalny czynnik będzie leżał immamentnie w psychice ludzkiej, czy „popęd do śmierci" (destrukcji) jest wieczysty i t. p. Tytany odpowiedziały, co wiedziały, i wykręciły się sianem („Europa zbiera siano"). Kiedy „Unja; Międzyplanetarna" wydała swój pacyfik-specyfik pt. „*Quel devrait être le caraciere d'une nouvelle guerre?*" to ta publikacja, sądząc po recenzjach, jeszcze miała jakiś sens, jakieś motywacje, w „*Purquoi la guerre?*", sądząc też po zresztą bardzo nielicznych recenzjach, jest tylko przeżuwanie znanej i tysiąckrotnie oklepanej frazeologji, kulminujące czy uwieńczone takim nowym dalszym paradoksem wiedeńskiego mistrza:

„Wszystko, co podnosi i rozwija kulturę, pracuje przeciw wojnie".

Zaprzątać więc teraz uwagę czytelnika polskiego takim druczkiem propagandowym żydków, licznie poukrywanych za tapetami sal i kancelaryj Ligi Narodów, nie byłoby oczywiście ani celu ani sensu, gdyby nie jeden drobny szczegół.

Otóż ten sam stary augur wiedeński rozrosły w sławę na seksualnościach i lansowany przez Rebek'i i Rachele z *sex-appeal*'em, napisał ostatnio nowe dzieło „*Die Zukunft einer Illusion*". Nie mogąc spać z dławiącej nienawiści do Chrześcijaństwa, postanowił sobie jeszcze przed śmiercią (w dzień wkraczania Nazich do Wiednia) zemścić się na otaczającym świecie, pisząc: „Religja (czytaj Chrystjanizm) w świetle psychoanalizy". Entuzjasta recenzent z czarno-sotiennego „Naszego Przeglądu" zaleca zgóry:

„W tytule już, określającym wiarę religijną. jako złudzenie, pozbawione objektywnych podstaw, zaznacza się wyraźnie negatywny stosunek autora do religji, co też lektura książki w całej rozciągłości potwierdza".

W dzisiejszej Rzeszy Niemieckiej zajadły satanista poszedłby za taką psychoanalizę Chrystjanizmu tam, gdzie przynależy. Ale w Wiedniu jeszcze „Reformacja Seksualna" się ostała i zdemodowany „obrazoburca" („po Nietzschem drugi wielki obrazoburca epoki przedwojennej"—piszą żydy) może sobie pozwalać na wyszydzanie Chrystjanizmu, co zaraz, galopem reklamuje talmudernista z „Przeglądu" w tych słowach:

„Rozpatrując kwestję w płaszczyźnie psychoanalitycznej, Freud dowodzi, że idea boga nie jest wytworem procesu psychicznego, rozszerzającego zakres dotychczasowego doświadczenia człowieka, lecz raczej aktualizacją drzemiących w podświadomości pierwiastków dziecięcego nastawienia wobec otoczenia. Wywołana życiową koniecznością obserwacja natury nasuwa człowiekowi myśl o panującej w niej praworządności, zamąconej rzekomo od czasu do czasu cudowną interwencją Stwórcy, przypominającego niejako w ten sposób o swojej wszechmocy. Tworzenie wiedzy oddala coraz bardziej świat od boga, redukując zakres jego działalności do funkcyj czysto etycznych, do roli najwyższej instancji moralnej, najsprawiedliwszego sędziego i obrońcy moralnego ładu".

I stary Freud „racjonalista" dowodzi, że w poprzednich fazach cywilizacyjnych taka illuzja, taki „bóg" się przydał, owszem, ale że „narzucanie dzisiejszemu człowiekowi" religji (czytaj Chrześcijaństwa) „jest równoznaczne z cofnięciem go do okresu jego kulturalnego niemowlęctwa".

Tak się apostoł panruji, zapatrzony w Totem Phallusa nad biurkiem, zemścił na senacie wiedeńskiego uniwersytetu... I tak dokuczył,... dopiekł do żywego znienawidzonym Chrześcijanom, wróżąc jako ta Habakuk, że w przyszłości niedalekiej nie będzie już Boga i nie będzie wojny między ludźmi, ale Żydy będą, zostaną, a władza nad odchrystjanizowaną ludzkością tylko im wyłącznie przypadnie w udziale.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Podsłuchane:

— Dlaczego przyśpieszono początek roku w szkołach?

— Jakto dlaczego? A kto ma pieniądze 10 dni przed pierwszym? Chodzi o to, aby goje zapożyczały się na lichwę. Nowa koncesja dla narodu wybranego!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM